

STREFA DE...

maj 2025 #14

...PRESS ZYN



Litza | Agata Karczewska | Krzysztof Skiba
Cabaret Grey | Cynamonowy Ogród | Suchy Pion
KATOD Music | Armia | Geordie Greep

ROZKŁAD JAZDY



Wstępniak	-2-
Przegląd Kapel Rockowych'25	-3-
Litza: Luxtorpeda nie jest od tego, żeby zaskakiwać	-7-
Agata Karczevska: Nie interesują nas idealne rzeczy	-13-
Krzysztof Skiba: Big Cyc ciągle drażni - raz politycznie, raz obyczajowo	-17-
Cabaret Grey: Druga fala zimna nadchodzi!	-25-
Cynamonowy Ogród: Proklamujemy dystans do świata i siebie	-27-
Suchy Pion: Bo jak się człowiek zmęczy, to mu się lepiej zasypia... ..	-29-
KATOD Music na Castle Party!	-33-
Lato zdychało głośno - recenzje festiwali	-35-
Geordie Greep - „The New Sound” - płyta 2024 roku?!	-39-
Armia - „Wojna i Pokój” - na taką płytę warto było czekać dekadę!	-41-
Projekt Czerwone Miasto	-44-
Artystka numeru - Dominika Swr	-45-

Zin (nie tylko) na Przegląd

Pisząc kolejne wstępniaki, zwykle zatrzymuję się nad coraz trudniejszym do ogarnięcia upływem czasu... A że właśnie stuknął rok od premiery poprzedniego, opatrzonego szczęśliwą trzynastką, numeru naszego zina, ponownie muszę sprawić sobie tę przyjemność i zerknąć w przeszłość. Dacie wiarę, że 23 listopada minie już 17 lat od premiery „Chinese Democracy”?! Ten fakt wydaje się tym bardziej abstrakcyjny, gdy zdamy sobie sprawę, że memiczne, przedłużające się w nieskończoność zapowiedzi tej płyty, rozciągnęły się „zaledwie” na niecałe półtorej dekady.

Bardzo bym nie chciał, żeby przygotowanie kolejnych zeszytów jedynego legnickiego muzycznego nieregularnika przypominało prace nad ostatnim do tej pory albumem Guns N' Roses (swoją drogą, nie były to aż tak fatalne piosenki, jak mogło się wydawać w 2008), dlatego niezmiernie cieszę się, że wydanie czternastej odsłony „Strefy De... Press'zyn” po troszę wymusił Przegląd Kapel Rockowych '25 - nie sposób było nie podsumować takiej okazji; tym bardziej, że w ostatnim czasie udało nam się zebrać kilka (mam nadzieję, interesujących!) tekstów.

Nie sposób też pominąć inny, jeszcze istotniejszy, wątek historyczny: 29 marca upłynęło 45 lat od pierwszych zmaganiach młodych, amatorskich muzyków na legnickiej ziemi, wówczas odbywających się pod niezbyt buntowniczą nazwą Festiwal Piosenki Uczniowskiej. Kaseciaki z kompilacją dwóch pierwszych przeglądów organizowanych w naszym mieście (z lat '80 i '81) wciąż dostępne są w katalogu labelu Czerwone Miasto - po latach miło chociażby docenić sentyment związany z włożeniem taśmy do zdecydowanie przykurzonego odtwarzacza czy... możliwością przewinięcia jej ołówkiem. A jeśli nie macie technologicznej opcji odsłuchania takiego arterfaktu, sprawdźcie chociażby niedawno opublikowany teledysk zespołu Cirrostratus promujący to wydawnictwo i prezentujący swojską interpretację punkowej estetyki jeszcze sprzed epoki stanu wojennego.

Na koniec chcę też dokonać skutecznej polemiki z samym sobą. W tytule wstępniaka do dwunastej „Strefy...” retorycznie zapytałem o zmierzch festiwalu, tymczasem Artur Rojek odpowiedział „sprawdzam” (no dobra, wcale nie było takiej riposty) i przygotował chyba najciekawszy OFF w blisko dwudziestoletniej historii tej imprezy. Kraftwerk, Fontaines D.C., Geordie Greep, Kneecap, Soft Play, Fat Dog czy nawet Hinode Tapes z polskiego podwórka - taki zestaw w zaledwie trzy dni? Na wszelki wypadek już pakuję płaszcz przeciwdeszczowy. Open'Er z Nine Inch Nails obok bambi i Massive Attack w zestawie z Camilą Cabello prezentuje się na tym tle co najmniej mało poważnie. A podsumowując temat festiwalu - w niniejszym numerze naszego pisma znajdziecie też krótki przegląd mniej oczywistych, ciekawych imprez z ubiegłego sezonu letniego udowadniający, że w naszym kraju są jeszcze warte uwagi kilkudniowe plenery!

Ale żeby nie było, muszę też pomarudzić - tym razem na ceny jednostkowych, gwiazdorskich koncertów, znacznie wyższe niż u naszych południowych czy zachodnich sąsiadów. Miejsca na płycie? Metallica - 775 złotych. Iron Maiden - 419 złotych. Queens Of The Stone Age - 399 złotych. Pantera - 355 złotych. Krzesła blisko sceny na Toolu? 805 złotych. Niestety, Praga czy Berlin wydają się znacznie ciekawszą koncertową perspektywą niż Warszawa. Dobrze, że choć w zeszłym roku udało się w ostatniej chwili za budżetowe dwie stowy na Grouponie dorwać bilet na Smashing Pumpkins w nie do końca szczelnie wypełnionej gliwickiej PreZero Arenie.

No to co? Udanego Przeglądu i miłej lektury!

PS. Za soundtrack do pisania tego intro posłużyła, nomen omen, „Czternastka” z wydanego w 2003 roku przez Sissy Records „Projektu S.I.”

Michał Przechera



PRZEGLĄD KAPEL ROCKOWYCH '25

W tym roku otrzymaliśmy rekordową ilość 63 zgłoszeń – trzeba też dodać, że muzyczny poziom był naprawdę wysoki. Niełatwego wyboru dokonało jury w składzie: Marcin Andrzejewski (wieloletni prowadzący legnickiego Przeglądu), Robek Obrycki (muzyk takich formacji jak Ofiary A., Pro Publico Bono czy WARA!), Michał Przechera (organizator PKR, dziennikarz muzyczny, reprezentant „Strefy...”) oraz Marek Szpyra (muzyk wielu legnickich formacji od lat 80., dziennikarz muzyczny), Na dziedzińcu Akademii Rycerskiej o pierwsze miejsce i nagrodę finansową zawalcza:

2 TEA TO ROOM 2

rock alternatywny – Warszawa

2 Tea to Room 2 czyt. „tu ti tu rum tu”. Nazwa zainspirowana suchym żartem z kręgu perkusistów, ale gramy muzykę jak najbardziej na serio. Rock z elementami progresji, funky, jazzu, alternatywy i czego tam jeszcze powstało w muzyce w ostatnim półwieczu w muzyce rozrywkowej. Raz mocniejsze łupnięcia z przesterem, wtem płynne przejście w balladę wiejącą r’n'b. Muzyka gitarowa, ale z saksofonistą na pokładzie, co nadaje całości powiew oryginalności. 1 stycznia 2024 wydany został

debiutancki album „Celebrate Your Mistakes”, który dostępny jest we wszystkich serwisach streamingowych oraz jako nośnik fizyczny. Wiele zapadających w pamięć melodii i dające do myślenia teksty w języku polskim.

Skład:

Bartosz Miecznikowski – perkusja

Przemysław Gracel – gitara, wokół

Jan Kossakowski – bas

Andrzej Wierzbowski – saksofon



AFTER9 X ORCZE

indie/alt rock – Kraków

After9 to zespół muzyczny założony w 2021 przez dwóch muzyków: gitarzystę i perkusistę z ciętymi do mocnych, klasycznych i alternatywnych rockowych brzmień. Wkrótce dołączył do nich basista, wnosząc oryginalne, melodyjne riffy, a później drugi gitarzysta, uzupełniając skład. Zespół tułał się po krakowskich piwnicach przygotowując autorskie kompozycje, aż 8 miesięcy temu połączył siły z producentką i wokalistką – Orcze. Pod szyldem After9 x Orcze ruszyli z kopyta, tworząc intrygujące, altrockowe piosenki, wpadające momentami w indie, a czasem w mocniejsze, rockowe tony. Pół roku przygotowywali materiał na album, który ma zostać nagrany na przełomie wiosny i lata 2025. Połączenie wielu lat instrumentalnego doświadczenia, świeżości umysłów i inspiracji czerpanych z codziennego życia stworzyło mieszankę wybuchową, w dobrym tego słowa znaczeniu. Pierwsze koncerty już za nimi, a ich plany wykraczają daleko w przód. Do zobaczenia pod sceną!

Skład:

Orka Politowicz – wokół

Tomasz Rzeźnik – gitara solowa

Marek Konopczyński – gitara rytmiczna

Łukasz Niziński – gitara basowa

Dariusz Włodarczyk – perkusja



CTRL+Z

alt rock/post stoner/psychedelic – Łódź

CTRL+Z to łódzki zespół, którego czterech członkowie grają psychodeliczny rock z naleciałościami stonera, funku, hardcore punku i jazzu. Utwory przenoszą słuchaczy w światy bizantyjskich latających dywanów, południowoamerykańskich krwawych konfliktów i westernowych gonitw na złamanie karku. Niedawno skończyliśmy prace nad naszą debiutancką płytą i oprócz szukania wydawnictwa, chcemy zagrać sporo koncertów w 2025 roku. Oprócz tego aktywnie szukamy możliwości koncertowych oraz współpracy bookingowej.

Skład:

Paweł Leszczyński – perkusja

Martyn Gill – bas

Mateusz Ulański – gitara

Karol Bukowski – gitara



NOWOS INC.

hard core/stoner rock/metal – Nowy Targ

Zespół powstał w 2017 roku w Nowym Targu a od 2022 gra w obecnym składzie. Formacja ma na koncie EP -kę „Populacja” wyprodukowaną DYI i wydaną własnym sumptem w 2021 roku. Jej muzyka to mieszanina stylów m.in. takich jak hard core, stoner rock czy metal, które inspirują muzyków zespołu. Grupa grała kilka koncertów w rodzinnym mieście i nie tylko.

Skład:

Marek Nowos – gitary, głos

Marcin Zapała – gitary

Paweł Hulbój – bas

Tomek Niedermaier – perkusja



RAF – SOBĄ DO KOŃCA

rapmetal/rapcore – Świdnica

Rapowy projekt solowy, RaF – Sobą Do Końca to czteroosobowy skład, który gra od ponad dwóch lat. Obecnie promujemy materiał z debiutanckiej płyty dostępnej cyfrowo i pracujemy nad nowym materiałem. Zespół tworzą osoby z doświadczeniem scenicznym oraz pasją do muzyki, szukające wyjątkowej przestrzeni koncertowej. Teksty opowiadają o życiowych zawirowaniach, poszukiwaniu celu i wychodzeniu na prostą poprzez granie. Ciężkie rify osadzone w wyrazistej sekcji rytmicznej spotykają się z rasowym rapem o głębokim przesłaniu. Graliśmy przed Chylińską, Jamalem i Sariusem.

Skład:

Rafał Bałos – wokół

Łukasz Polaczenco – bas

Krzysztof Polaczenco – gitara, wokół

Marcin Zieliński – perkusja



FOOTPRINTS ON THE MOON

rock/alternatywa – Kłodzko

Footprints on the Moon to trzysobowa formacja z Dolnego Śląska grająca muzykę z pograniczy popu, alternatywy i rocka. Do największych osiągnięć zespołu należy wygrana w konkursie Będzie głośno vol.4 organizowanym przez Czwórka Polskie Radio i wydanie singla „All of the time” na składance radia. Utwór ten został także wyróżniony jako Piosenka Dnia na antenie Radia 357.

W 2022 roku zespół zajął I miejsce w konkursie muzycznym Scyzoryki. Footprints On The Moon usłyszeć można było na wielu festiwalach, koncertach w Polskich oraz zagranicznych klubach, jak i stacjach radiowych - Wrocław, Trójka, Opole, Sochaczew. Po małej przerwie zespół wraca na scenę by zarażać swoją energią. Aktualnie trwają prace nad polskojęzycznym albumem.

Skład:

Wojciech Sędrowicz – Wokal, gitara

Irek Panasewicz – Gitara,

Piotr Perełka – Perkusja elektroniczna, Sampler



HELL DIVERS

death/thrash metal – Legnica

Nazywamy się Hell Divers, jesteśmy młodym zespołem z Legnicy a naszą pasją jest nawalanie mocnego death/thrash metalu. Naszym głównym nurtem jest thrash metal z mocnym wpływem death metalu, a przy tym towarzyszy mocny screamowy wokal. Uwielbiamy pogo i headbanging dlatego zdecydowaliśmy robić muzykę taką a nie inną. Istniejemy niespełna rok, więc na scenie muzycznej widniejemy stosunkowo niedługo, a dokładniej początki naszego zespołu sięgają maja/czerwca

2024 roku. Obecnie posiadamy 6 skończonych utworów i 1 w trakcie dokończania. Wspominając że jesteśmy młodym zespołem, nasz dokładny wiek to; Nataniel – 17 lat, Marcel Kowalski – 16 lat, Igor – 17 lat, Mikołaj – 16 lat, Marcel Urbanowicz – 16 lat. Mimo naszego wieku mamy tę muzykę krwi i jesteśmy w niej obeznani od najmłodszych lat, odośnie do zespołu i naszej muzyki spotkaliśmy się z określeniem że „wyssaliśmy ją z mlekiem matki”... Podsumowując, gramy ciężką muzykę z pogranicza death, a thrash metalu, jesteśmy młodym zespołem i z pasją gramy muzykę którą kochamy.

Skład:

Nataniel „Blasmopheus” Egiert – wokal

Marcel Kowalski – gitara prowadząca

Igor Isbrandt – gitara rytmiczna

Mikołaj Natanek – gitara basowa

Marcel „Czacha” Urbanowicz – perkusja

THE STORK

rock alternatywny/alt-rock – Wrocław

The Stork to coś więcej niż zespół – to realizacja marzenia, napędzanego pasją i nieustannym dążeniem do tworzenia muzyki. Wszystko zaczęło się od wizji lidera i wokalisty, którego poszukiwania w podróży artystycznej prowadziły przez różne kraje, od Gruzji, przez Turcję, po Białoruś, aż w końcu znalazły swój finał we Wrocławiu. Tak właśnie pod koniec 2023 roku narodził się The Stork, zespół, zespół stworzony przez artystów, którzy połączyli swoje siły, by

wspólnie kreować mocne, energetyczne brzmienia. Dzięki pasji i determinacji stworzyliśmy projekt, który przemawia do szerokiej publiczności. Nasza muzyka to mieszanka potężnych riffów, nowoczesnej produkcji i chwytliwych melodii, które inspirują i porywają. The Stork to podróż przez rockowe dziedzictwo w nową erę dźwięków, która na nowo definiuje energię i siłę tej muzyki. Na swoim koncercie mamy już kilka koncertów, w tym występ jako headliner w ramach Nowy Rock Festiwal we Wrocławiu. Niedawno wydaliśmy debiutancką EPkę zatytułowaną „New Chapter”, która spotkała się z bardzo dobrym odbiorem. Znalazł się na niej między innymi singiel „Rocketman”, który zdobywa uznanie na listach przebojów.

Skład:

Vitali Radchanka – wokal, gitara akustyczna

Łukasz Zelek – gitara elektryczna

Marek Koszczyński – gitara elektryczna

Adrian Lisiecki – gitara basowa

Maciej Sokalski – perkusja



Gwiazda PKR '25: LUXTORPEDA

Luxtorpeda w tym roku obchodzi 15-lecie działalności. W skład formacji wchodzi Robert „Litza” Friedrich (gitara, wokal), Przemysław „Hans” Frencl (wokal), Robert „Drężmak” Drężek (gitara), Krzysztof „Dr Kmieć” Kmiecik (bas) oraz Tomasz „Krzyżyk” Krzyżaniak (perkusja). Grupa znana z takich przebojów, jak między innymi „Autystyczny”, „Hymn”, „Wilki dwa” czy „Mambałaga” w swoim graniu łączy ciężkie riffy – w ich muzyce można usłyszeć mieszankę gatunków: stonera, metalu, rocka alternatywnego czy punka – z hip-hopowym flow Hansa. Poznański zespół



wydał już siedem albumów studyjnych – wyróżnić warto choćby docierające do pierwszego miejsca zestawienia OLiS „Robaki”, „A morał tej historii mógłby być taki, mimo że cukrowe, to jednak buraki” oraz „Anno Domini MMXX” – a także kilka krążków koncertowych, w tym DVD z Przystanku Woodstock. Premiera najnowszego albumu Luxtorpedy będzie miała miejsce 13 maja; legnicki koncert będzie zatem idealną okazją, żeby zapoznać się ze świeżym materiałem grupy.

Więcej o Luxtorpedzie w wywiadzie z Litzą.

LITZA:

**Luxtorpeda nie
jest od tego,
żeby zaskakiwać**

Luxtorpeda - fot. Instagram zespołu



Luxtorpeda, Flapjack, Acid Drinkers, 2 Tm 2,3 i Arka Noego. Robert Friedrich, szerzej znany jako Litza, na nudę narzekać nie może. Obecnie gra w pięciu wymienionych przed chwilą kapelach, w prowadzonym przez siebie studiu regularnie nagrywa mnóstwo młodych (i nieco starszych) formacji, a w muzycznym CV ma przecież jeszcze sporo ciekawych historycznych wpisów: Turbo, Creation Of Death czy Kazik Na Żywo. Do tego - jak sam przyznaje - najwięcej energii i czasu stara się poświęcać swoim najbliższym. Przed Wami (prawdopodobnie) najlepsza prawa ręka polskiej alternatywy, a oprócz tego... naprawdę skromny facet! Rozmawiał stary fanboy - Michał Przechera.

Zacznę od niezbyt oczywistego tematu, zasygnalizowanego choćby w wywiadach w Kanale Sportowym czy Esce Rock, jednak bez puenty. Jaki jest twój ulubiony piłkarz?

Messi! Jego gra to poezja. Pokorny na boisku, niesamowicie kreatywny, robi wszystko intuicyjnie. Jeśli chodzi o wybór pomiędzy gigantami, Ronaldo poświęcił bardzo dużo życia, żeby zyskać technikę, którą świetnie wykorzystuje, jednak poetą futbolu pozostanie dla mnie Leo. Ale nie sposób nie wspomnieć też o Robertcie Lewandowskim, który w zależności od meczu gra jak Ronaldo, Messi, a czasami niczym obaj naraz. To trzech zawodników, których najbardziej podziwiam. A za starych lat, kiedy pięćdziesiąt lat temu sam jeszcze grywałem na boisku, zawsze chciałem być Pelé.

Nie zadałem tego pytania bez powodu. Uważam, że śmiało można cię nazwać gitarzystą drużynowym - zamiast pchać się na solówkowy front, niczym nieodżałowany Robert Brylewski reprezentujesz typowo punkowy mental, myśląc przede wszystkim o dobru zespołu.

Dzięki temu, że jestem w różnych kapelach, to choć gram to samo - bo nic innego nie potrafię - to te moje riffy mają trochę inny charakter. Wszystko zależy od tego, kto mi towarzyszy. To bardzo ważne, żeby w teamie uzyskać współpracę, a muzyka zawsze jest wypadkową temperamentów wszystkich ją tworzących. Robert był zawsze dla mnie wyjątkowym gitarzystą, bo uczył, że w muzyce nie chodzi o jakąś wirtuozerię. Brylu miał też okazję startować w momencie, gdy w Polsce zachodziły spore zmiany, nie było dużo takiego grania i cokolwiek się nie dotknął - Kryzys, Brygada Kryzys, Izrael czy Armia - zawsze miało pewien kolor niezależności, tajemnicy. Niesamowicie go szanuję, a pierwsze utwory, jakie grałem na gitarze, napisał właśnie on. Ale w Polsce mamy też oczywiście znakomitych wirtuozów gitary! Darek Kozakiewicz, Janek Borysewicz, Grzesiek Skawiński, Wojtek Hoffmann ze starego pokolenia, średnia młodzież - Burza i Popocorn, czy wreszcie Vogg z młodej gwardii. Nie mogę zapomnieć też o takich muzykach jak Krzysztof Pocięcha z Klausa Mittfocha czy Zbigniew Krzywański z Republiki.

Podrażę jeszcze punkowe wątki. Zauważyłem, że w ostatnim czasie na korpus twojej V-ki wróciła naklejka Nomeansno!

To pewne formacje, które są kamieniami milowymi w moim graniu - czy to Nomeansno, czy Corrosion Of Conformity. A dodać muszę jeszcze, że ta V-ka wcale nie jest moja, tylko Jamesa Hetfielda. (śmiech) Ja korzystam przede wszystkim z customów z firmy Tone Zone, bijących na głowę oryginalnego ESP Jamesa, którego pooklejałem, żeby zbliżył się bardziej do litzowego charakteru. Ale chciałem spróbować, jak brzmi taki profesjonalny instrument sygnowany nazwiskiem jednego z najlepszych gitarzystów rytmicznych na świecie, obok Iana Scotta z Anthraxu i Tommy'ego Victora z Pronga. A na gitarze znalazło się zresztą znacznie więcej wlepek: Gorillaz czy Silksong - zupełnie inna muzyka - i filmowe motywy: podobizna Denzela Washingtona czy logo Bubba Gump Shrimp.

Czuję się atakowany przez agresywną reklamę. Mówią mi, co mam kupić. Biegnę za tym i jak doganiam, to się okazuje, że dogoniłem gówna - pamiętasz, kto tak powiedział?

Nie, ale zgadzam się z tą wypowiedzią!

To twój komentarz do utworu „Gain On Shit” z płyty „High Proof Cosmic Milk” Acidów, opublikowany w „Tylko Rocku” w maju 1998.

Możliwe... Gadam tak dużo, że czasami kogoś nieświadomie zacytuję, innym razem coś mi wpadnie do głowy spontanicznie. Tak to już jest z pogonią za czymkolwiek w życiu. Na końcu, jak już dorwiesz tego zajaczka, to się okazuje, że on nie był wart tyle, ile myślałeś, a sens życia widocznie znajduje się gdzie indziej. Ja też przekonałem się, co jest najcenniejsze: żona, dzieci, wnuki, przyjaciele. Zespoły także traktuję bardziej jak spotkanie przyjaciół niż zgadanie się w celu wykonania utworu. Jako dzieciak bardzo przeżywałem bajkę o Koziołku Matołka, który zszedł cały świat, żeby dotrzeć do znajdującego się przecież tak blisko Pacanowa. Z drugiej strony widzę też to optymistycznie. Gówno, które złapiesz, może być dobrym nawozem. Zanim urodzi się coś dobrego, to nieraz pracuje się w gnoju. Na próbach też nierzadko jest gnój.

Przejdźmy do Luxtorpedy. Zanim poruszymy muzyczne wątki muszę przyznać, że obcowanie z designem waszych wydawnictw to czysta przyjemność. W dobie szybkiego uploadowania singli bardzo dbacie o wizualną stronę swoich płyt i merchu.



Acid Drinkers

ZALOGA „G“

To jest zespół, który uwielbia kombinować na wszystkich możliwych polach – od tytułu płyty, przez projekt okładki, teksty na samej muzyce kończąc. I w dodatku na żadnym z tych pol nie dał dotąd ciała. No – myślisz sobie – najwyższy czas, żeby dać. Ale jeszcze nie teraz. Nie dzisiaj, nie na *High Prof Cosmic Milk*. Porozwój swoje a propos nowej płyty na pewną wagę. Malo, że na *High Prof Cosmic Milk* pojawiają się industrializmy, to jeden z numerów – *Blind Leadin' The Blind* – brzmi jak acidowa waga techna.

LICA: *Stimach nagłej perkiacji, zanim powstał ten numer. Do tego zrobilem bardzo przysty riff. Może dlatego to tak brzmi, bo baaż był borkusia.*

TITUS: *To jest wszystko na żywo grane. Nie ma żadnego czarno-białego szerokiego. Strony metalowe, kostka plastikowa, ręce ży-*

LICA: Ostatnio kupilem procesor gitarowy TC Electronic G-Force. Tym się bawi w Polsce tylko kilku maniaków gitarowych – takich jak ja: Skawiński, Łukaszewski, Friedrich, Sola, wszyscy to podobno do klaszyszczyków – to gitara plus G-Force. Napisaliśmy nawet na tebie, że nie używaliśmy żadnych klamerek.

DUŻE RYZYKO

LICA: Byliśmy blisko nagrania gitar na starym Marshallu z lat sześćdziesiątych pożyczonym od Bolka z zespołu Houk. Ale niestety upeprn po sporym czasie z pływu do czyszczenia głowic pierwszej nocy zepsuł i w znacznym.

...dwa i pół tysiąca godzinach pracy okazało się, że nic z tego. Stół miksera za trzy miliardy się nie sprawdził. Monsieur producent, czyli Hra-uck, stwierdził, że wracamy do naszej kanciapły i tam nagramy

Patrze na zdjęcie Acid Drinkers
z okładki płyty Dirty Money Dirty
Tricks - czterech długowłosych,
walajace się butelki po wysokopro-
centowych trunkach Acid AD 1991.
A jacy są teraz? Dużo się nie zmie-
niło - mówi Lica. Dwóch obcięło
pióra. Jeździ chodzi o butelki, to Ti-
tus i Popcorn staraja się trzymać
średnia. Ja już nie mogę, zdrowie
mi nie pozwala.
Zostaje mu High Proof Cosmic Milk.

cię, niż gdybym przyniósł goście rączki. Nie
zadnego cienia, jak coś nie są, to frasz
- jeszcze nie „Gazetę wiedeńską”, jeszcze nie
„Pulp Fiction”, magisterowski parowóz. Płen
komfort, bo studio miałem do dyspozycji
przez 10 dni z 24 godziny na dobę.

- Tym razem zaśpiewałeś mniej na-
mierzanie.

TITUS: Moja maniera śpiewania była
lepiej. Śpiewałem tak jak chciałem. Ja jestem
muzycznym, a nie wokalistą. Ale mam na-
dzieje, że słyszał jeszcze, że to ja śpiewam.

Następna płyta Acid Drinkers będzie al-
bum koncertowy. Zdobę się, że tam Titus
„nabudzi” ile wlezie.

rozmawiał: IGOR STEFANOWICZ

Human Bazooka

TITUS: Napisałem było listów przeciwko nadszyciem, że nie porównałem mi nic innego, jak zacząć brać i spawadzić, czy miałem rację. Okazało się, miałem. Brałem wszystko co było, wszystko co pożyteczne. Obietnic dawałem. Dwa razy tak zmieniłem dom, że nie było co zbierać. To było trochę przypadek i już skończona.

High Proof Cosmic Milk

More Life
TITUS: Numer o tym, żeby nie siedzieć w kiblu życia, tylko wyjść na zewnątrz. O strachu przed życiem.

TITUS: Ma fajny, cynkowy refren. Numer o mojej nieudanej walce z nalogiem. Chociaż estadnio pape dni napilem.

Gain On Shit

Proud Mary
TITUS: Kowher Creadence'ów. Tina Turner go bard

Sad Like A Coal Check
LICA: Niektórzy ludzie nie są w stanie wytrzymać

czywistości, która ich otacza i kładę się spać. A o wszystkim zapomnieć. „I'm getting into bed, I'm going to sleep, please leave the message after the beep”.

Jeśli coś robimy, to przede wszystkim musi się nam podobać, a poszukiwania są piękne. Nie znamy się zbyt na marketingu, natomiast szukamy różnych sposobów, żeby oprócz kreatywnej zabawy, którą zawsze mamy wyjść do ludzi i przekazać dalej naszą twórczość. Tworzenie płyty to nie tylko muzyka, ale też okładka, tytuł czy pomysł na kolor. Trzeba zebrać wszystko w całość i znaleźć wspólny mianownik. Czasami ludzie łapią się za głowę widząc, że robimy coś kompletnie w poprzek trendom. Już w 2012 roku przy „Robakach” przedpremierowo umieściliśmy wszystkie utwory w sieci - żeby ludzie nie musieli wydawać pieniędzy kota w worku. Uważaliśmy, że to uczciwe podejście, co zresztą nie spotkało się z finansowym uszczerbkiem. Ostatnia, akustyczna płyta to jeszcze inny temat - w ogóle jej nie zapowiadaliśmy, tylko pewnego dnia bez żadnej promocji i reklamy ogłosiliśmy, że album jest już fizycznie w sprzedaży, a niedługo potem pojawiły się winyle. Myślę, że to bardzo miła niespodzianka. Jestem już nieco zmęczony filmikami ze studia, których jest tak dużo. Zespół wchodzi, stroi się, żartuje, je bułki, coś nagrywa - to wszystko już było. Trzeba popracować, wydać płytę i - pyk - dać coś ludziom.

Luxtorpeda - Mój trup jest większy niż twój



„Mój Trup Jest Większy Niż Twój”, czyli Live Absolutnie Akustyczny, spotkał się z niezwykle pozytywnym odbiorem - został między innymi płytą miesiąca w styczniu 2024 w „Teraz Rocku”. Może chodziło o element zaskoczenia? Mnie szczególnie zdziwił aranż „Sęku” - spodziewałem się czegoś jeszcze bardziej nostalgicznego, a tu dostałem prawie... country!

Hans słusznie zauważył, że „Sęk” wcale nie jest melancholijnym tekstem, tylko pozytywnym. Spytał, czy możemy zrobić coś, żeby akustyczna wersja brzmiała weselej. Weszliśmy w tonacje durowe i zaskoczyło - właśnie o to mu chodziło. Niektóre rzeczy zagraliśmy za to bardzo spokojnie, jak „Trafiony zatopiony”, gdzie nastrój potęgował mroczny tekst. Nie siedzimy za długo przy płytach - dość szybko komponujemy i wydajemy, bo wiemy, w którym kierunku iść. Szczerze powiem, że na koncerty akustyczne, bo one były punktem wyjścia do robienia albumu, poświęciliśmy najwięcej czasu, pracy i energii. Mieliśmy mnóstwo roboty, bo nie chcieliśmy, żeby to były zwykłe występy bez prądu i odcinanie kuponów, tylko coś ekstra. W międzyczasie zdążyliśmy się pokłócić, zespół się rozpadł, potem się godziliśmy - to był jeszcze jeden pozytywny zastrzyk i dowód, że możemy zacząć od nowa. A najlepszą recenzją, jaka mi się w życiu mogła przytrafić, były słowa mojej żony, która po koncercie powiedziała, że uczestniczyła w epokowym wydarzeniu.

Ale przed płytą długogrającą wydaliście też „Bootleg Akustyki Live Krosno” nagrany unplugged w grudniu 2023. Można powiedzieć, że to trailer albumu?

Myślałem, że na tym się skończy. To było tylko mrugnięcie opis, zapis koncertowy i nie sądziłem, że nagramy coś więcej. Materiał na bootleg zarejestrowaliśmy na trasie „Robaki, hity i akustyki”, gdzie w setlistę wplataliśmy kilka utworów unplugged, co ludziom się spodobało. Ja też zaangażowałem się w taką formę, ale dwugodzinne koncerty będące bardziej przedstawieniem muzyczno-teatralnym niż tradycyjnym występem są ciężką pracą. Mimo tego kilka miesięcy później pojechaliśmy w trasę całkowicie akustyczną, a dopiero „Mój Trup...” w pełni oddaje całą pracę, serce, czas włożone w te aranże i wszelkie twórcze wpływy, z których czerpaliśmy. Początkowo byłem przeciwny takiej estetyce, bo wystarczy mi grania akustyczno-folkowego na co dzień w Arce Noego. Powtarzałem chłopakom, że nie jestem przekonany, a teraz chylę przed nimi czoła, bo Krzyżyk i reszta zespołu bardzo w to wierzyła. Zresztą, gdy ludzie na forum Luxtorpedy pytali, czy kiedykolwiek pojawi się akustyczna płyta, zawsze odpowiadałem: „Po moim trupie”. Taki zresztą miał być tytuł tego albumu, ale... uprzedził nas Kazik z Kwartetem ProForma, który zresztą nagrywał, jak się okazało, identycznie nazwany krążek w studiu OKOLITZA. (śmiej) Nasz, dość dziwny, uaktualniony tytuł jest zatem odpowiedzią dla Kazika, a jednocześnie parafrazą jego pandemicznego przeboju. Ale to już historia.



Litza w koszulce 2Tm2,3

Luxtorpeda w studiu - fot. Instagram



Nowa płyta Luxtorpedy ma za to być zatytułowana „Katapulta”. Proszę o przecieki!

Właśnie (rozmawialiśmy 26 lutego - przyp. aut.) skończyliśmy nagrywać nowy materiał. Mówiliśmy o akustycznej płycie, ale ja za ostatni album Luxtorpedy uważam jednak „Omegę” z 2022. Mieliśmy spotkać się w studiu i nagrać EP-kę na bardzo starym sprzęcie z lat sześćdziesiątych. Grało nam się jednak tak dobrze i wytworzyliśmy taki klimat, że nagle okazało się, że mamy całą płytę. Jesteśmy tuż przed nagrywaniem wokali i marzę, żeby płytę „Katapulta” wydać 13 maja - trzy lata po „Omedze”.

Wiesz już, jaki będzie kolor tego albumu?

Podjąłem próbę zobaczenia tego koloru. Chcieliśmy zaprezentować zupełnie inną okładkę, więc poprosiłem jednego z polskich artystów, żeby coś namalował. Bardzo mi się ten obraz spodobał, ale niestety nasze wizje się nie spotkały - efekt nie pasował mi do muzyki, która jest bardzo pustynna. Człowiek stoi, czeka i nigdzie się nie spieszy. Ale na co? Chce się katapultować w jakąś rzeczywistość, jednak mu się to nie udaje... Na razie to wszystko dzieje się w podświadomości. Próbowalem bawić się ze sztu-

czną inteligencją, ale nie było to zbyt inteligentne narzędzie. Wychodziły śmieszne rzeczy. Być może teksty nam bardzo pomogą, żeby ostatecznie zobaczyć, jak płyta ma wyglądać. Warstwa graficzna jest istotna, bo z nią wiąże się klimat wydawnictwa czy nawet koszulki. Jestem do tego stopnia zaangażowany, że jak wydawaliśmy „Sugar Free” Flapjacka, musiałem sprawić sobie pomarańczową gitarę, bo łączyło mi się to w całość kolorystyczną.

Możemy spodziewać się jakichś zaskoczeń i niespodzianek muzycznych?

Luxtorpeda nie jest od tego, żeby zaskakiwać. My na talerzu podajemy danie, które przygotowaliśmy, a każdy ma swoje podniebienie i gusta. To pierwsza płyta Luxtorpedy, która jest bardziej transowa niż szybka. Dla słuchaczy wyczulonych na różne smaki będzie to coś innego, choć wiele osób zapewne stwierdzi, że to nasze klasyczne brzmienie. To trochę tak jak z obojem. Nawet jeśli zagrasz na nim „Smoke on the Water”, to przeciętny słuchacz i tak odbierze to jako utwór z filmu „Misja”. Ludzie często słuchają bardziej koloru i klimatu niż melodii.

Wasze wydawnictwa - jak choćby winyle czy książka „Historia deLux” - rozchodzą się bardzo szybko, a z drugiej ręki osiągają zaporowe ceny. Planujecie reedycję?

Nie jesteśmy zespołem, który sprzedaje duże ilości; cały czas jednak operujemy w niszy. Zamawiamy tyle towaru, na ile nas stać. Kasy starczyło nam na to tysiąc książek, bo zdecydowaliśmy się na ekskluzywne wydanie i kto się załapał, ten ma. Ja sam zdążyłem w ostatniej chwili, gdy zdałem sobie sprawę, że w sklepie została ostatnia książka. Ale zbliża się piętnastolecie Luxtorpedy, więc są plany, żeby wydać na winylu „Robaki” i „Buraki” i być może wznowić książkę - choć musiałaby być poszerzona o aktualizację.

Byłeś już bohaterem „Raportu o Acid Drinkers” i „Historii deLux” - a może wreszcie czas na autobiografię Litzy? Albo chociaż, wzorem Santany, solową płytę z gościnnym udziałem wokalistów?

W tym momencie gram w pięciu zespołach jednocześnie i biorąc pod uwagę, że mam szesnaścioro wnuków, siedmioro dzieci i - przede wszystkim żonę - mam co robić. Pewnie że, takie plany były, ale zawsze pojawia się coś ważniejszego, a na taki projekt musiałbym znaleźć chwilę. Próbowalem, ale to nie jest takie dla mnie proste. Czytając nie czułem, że to moja historia, a moje słowa zawsze były reinterpretowane przez słuchającego. Może sam kiedyś się za to

zabiorę? Ale każde życie każdego człowieka jest bardzo ciekawe i można byłoby je opisać, więc nie wiem, czy mam taką potrzebę. A jak podejmowałem decyzję, że na poważnie chcę grać na gitarze, to oprócz tego, że byłem zachwycony Santaną, to bliższy mojemu sercu był singiel Dezertera - wałkowałem go wciąż i grałem w kółko. Zdecydowanie było łatwiej! (śmiejch)

Jako osoba radykalnie zapracowana przez lata dodawałeś sobie obowiązków, organizująca Luxfest. Od kilku lat jednak ten festiwal jest już nieobecny na koncertowej mapie Polski. Jest szansa na powrót?

To były trzy miesiące charytatywnej pracy wielu osób dla pewnej idei. Przerwa w organizacji imprezy wynika też z trwającego remontu poznańskiej Areny - być może, jak tylko obiekt będzie gotowy, Luxfest wróci. To było najlepsze miejsce, choć próbowaliśmy też nad jeziorem w Strzeszynie i było cudownie. Zobaczymy, czy starczy pracy i sił. Trzeba znaleźć taki sztab, a każdy z nas oprócz grania gdzieś pracuje. Żeby płacić za benzynę, prąd i gaz chodzimy do normalnej roboty czy prowadzimy firmy - większość muzyków gra hobbystycznie i ja też się do nich zaliczam.

Z pewnością brakować może też akustycznego 2 Tm 2,3 na żywo - każdy, kto był choć na jednym koncercie w ramach tras wielkopostnych, pewnie wie, o czym mówię.

Miałem dużą treść przed naszym koncertem na Metalu. Potem byłem w szkole - ludzie nas kłuli! Przed nami krzyczeli: „Dragon”, a po nas „Delajany” i hili bravo.

DRINKERS

„I nie przeklinaj kwasu...”

Unikaliśmy się na koncert w Poznaniu. Od razu odemknęliśmy. Tłumy, tłumy, tłumy... Wtedy weszliśmy, ciemno, było przy młotach. Razem się gry? - mówili. - Jak nie, ludzie, nie! Wtedy, kiedy weszliśmy, było przy młotach. Razem się gry? - mówili. - Jak nie, ludzie, nie! Wtedy, kiedy weszliśmy, było przy młotach. Razem się gry? - mówili. - Jak nie, ludzie, nie!

Wtedy, kiedy weszliśmy, było przy młotach. Razem się gry? - mówili. - Jak nie, ludzie, nie! Wtedy, kiedy weszliśmy, było przy młotach. Razem się gry? - mówili. - Jak nie, ludzie, nie!

Pokolenie, które słuchało akustycznego 2 Tm 2,3 i organizowało nasze trasy zajęło się swoimi sprawami, życiem rodzinnym i dziś trudno by było logistycznie dopiąć tak duży projekt. W tym roku 2 Tm 2,3 - nawet w wersji czadowej - nie ma żadnych perspektyw na koncert, co mnie bardzo martwi. Po wydaniu płyty „Svrsym Corda” zrobiliśmy kilka koncertów i to wszystko, bo nie ma chętnych. Mimo, że się staramy, to nie zapełnimy stadionów, nie zagrają nas w radiu ani nawet w windzie. Ale przecież zawsze byliśmy undergroundowi i to dobrze, bo prawdziwa muzyka rockowa właśnie stamtąd się wywodzi.

Z undergroundu przeniesmy się do zgniłego mainstreamu. Pamiętasz, jak trafiłeś na Pudelka?

Jak żyję, nigdy nie czytałem Pudelka! (śmiejch)

Chodziło o krytykę cenowych praktyk i marż Empiku - tuż po premierze „Buraków...” spotkałeś na zakupach kumpla, któremu chciałeś podarować tę płytę. Nie miałeś przy sobie żadnego egzemplarza, więc kupiłeś ją w popularnej sieciówce - i tu spotkała cię nieprzyjemna niespodzianka...

Wiele razy jest tak, że nawet jeśli sami wydajemy i sprzedajemy płyty, ludzie chodzą do Empiku czy korzystają z Allegro. Nie patrzą na cenę, są przyzwyczajeni, a przy okazji mogą kupić więcej rzeczy. Co do portali plotkarskich - moje córki wysyłają mi sporo takich ciekawostek medialnych.

1992

METAL HAMMER

MIESIĘCZNIK
THE INTERNATIONAL
HARD ROCK & HEAVY
METAL MAGAZINE
WERSJA POLSKA

NR. INDEKSU:
365742
36.000,-ZŁ

SATRIANI

AXL ROSE

SKID ROW

MOTORHEAD

IRON MAIDEN

W.A.S.P.

THE ALMIGHTY

SLAYER

FLAMENT

Acid Drinkers - Magazyn Muzyczny

grudzień 1990

Metal Hammer - wrzesień 1991

OBITUARY: SUICIDAL TENDENCIES, C.O.C.

Plakat promujący koncert KNŻ - Legnica 2012

KONCERT
"strefa de..."#100

KAZIK NA ŻYWO

SCHIZMA IDENTITY

28.04.2012 godz. 18:00
dziedziniec Akademii Rycerskiej w Legnicy
(wejście na koncert od 17:00)

Organizator:  www.lck.art.pl

BILETY: www.ticketpro.pl
przedsprzedaż: 45 PLN
w dniu koncertu: 55 PLN

LEGNICA
2012

TICKETPRO
www.ticketpro.pl

Jakie tam widziałem historie! Że nie pozwalałem chodzić dzieciom na religię, nie mówiąc już o kontrowersjach związanych z... wypowiedzią o kotleciku, mieliśmy z tego całą rodziną niezły polew. Ale zdaję sobie sprawę, że dużo ludzi wierzy w takie rzeczy i nawet potrafią się z tego powodu zaciętrzewić! Nie mam czasu, żeby śledzić media, a że nie jestem celebrytą, nie wyszukuję swojego nazwiska. Dziś świat jest otwarty na różne opinie. Nasze granie adresujemy przede wszystkim do ludzi, którzy cieszą się z muzyki i różnego rodzaju przejawów kultury pomagającej im zrozumieć świat, odpocząć czy nabrać sił do życiowych spraw. Są też odwieczni recenzenci którzy nic innego nie robią, tylko podsumowują w słupkach, oceniają i wyciągają prywatne wnioski, które idą w eter. Można się tym przejmować, ale wcale nie trzeba. Spytałem Titusa czy czyta komentarze - odpowiedział, że gdyby to robił, to by nagrał dwie demówki, a nie czterdzieści płyt. I taka jest prawda.

Skoro wywołałeś do tablicy Titusa - powrót Acid Drinkers w oryginalnym składzie to potężny news!

Niewiele w tej kwestii powiem. Gramy sobie od zeszłego roku, sprawia nam to wielką przyjemność - i tylko tyle. Damy trzy duże koncerty w ramach Festiwalu Rockowizna, już ogrywamy stare rzeczy, bo będą nieco odmienne setlisty. Nawet nie robimy nic nowego, nie musimy. Nie patrzymy w przyszłość i chcemy się cieszyć tym graniem dzisiaj. Ciało może być stare, ale duch jest zawsze młody. Nie opuściło nas charakterystyczne poczucie humoru, ciągle porozumiewamy się skrótami myślowymi; jakby ktoś z boku usłyszał jak gadamy, zdziwiłby się. Ale choć byłem poza zespołem, widywaliśmy się - czy to na scenie podczas okazjonalnych koncertów, czy to u mnie w domu, więc nie jest to żadna nowość. Jak się

pozna mając szesnaście lat, to jest się zakumplowanym na zawsze. A że po drodze pojawiają się trudy? Musiałem zostawić zespół, bo nie miałem innego wyjścia. Popcorn też przez pięć lat tak naprawdę był poza składem Acidów. Czasami sprawy rodzinne są brutalnie wymagające i trzeba opuścić ukochaną grupę, żeby nadgonić podstawowe obowiązki. Ale teraz odchowałem dzieci i mogę grać już we wszystkich kapelach! Jakby jeszcze Kazik się zgodził na powrót KNŻ, to by było super!

A jakieś nowości z obozu Flapjacka?

Gramy koncerty i mamy z tego super zabawę. Wystąpiliśmy choćby na Metal Hammer Festivalu w 2023 roku przed Crowbarem, Hatebreed i Panterą i wspominam to świetnie! Choć nie mieliśmy żadnych prób, udało się uzyskać dobry efekt, ale to wynika z faktu, że wciąż jesteśmy na etapie bardzo dużego entuzjazmu. To jednak zupełnie inny Flapjack niż z Guzikiem. Do zespołu dużo wnieśli ludzie, którzy dawniej byli jego fanami: Kroto, DJ Eprom czy Mihau, którzy świetnie odnajdują się w tym rodzaju muzyki. Występy mamy zapowiedziane do końca roku i jest co robić. Chcemy grać jak najwięcej „Sugar Free” na żywo, to materiał bardziej klubowy niż na duże plenery. Myślimy też już o nowej płycie - chcemy we wrześniu wejść do studia Tall Pine Records, a album wydać w 2026.

W tym całym zabieganiu masz jeszcze czas na słuchanie nowej muzyki?

Nigdy nie traktowałem muzyki jako obowiązku. To raczej przejście do innej rzeczywistości, którą lubię tworzyć i gdzie czuję się bezpiecznie. Mam pracę - prowadzę działalność gospodarczą, co jest ciężkim kawałem chleba. Muszę ogarniać wszystkie faktury, wnioski i podatki, a nagrodą jest możliwość zagrania próby, koncertu czy wejścia do studia. Dużo czasu spędzam w samochodzie, więc oprócz audiobooków mam czas na słuchanie skrajnie różnej muzyki. Ostatnio mój ulubiony album to „An Evening with Silk Sonic”. Nawet nie wiem, co to za styl, ale Bruno Mars i Anderson .Paak nagrali tak dobry album, że włączam go prawie za każdym razem, gdy wsiadam do auta i niezależnie od pory roku kojarzy mi się z wiosną. Ale sięgam też po nowe, szalone i zaskakujące gitarowe rzeczy w metalu jak [Car_Bomb] czy Vein. To totalna zagadka, jak ci muzycy używają instrumentu. A od kiedy pojawił się Kyuss i „Desert Sessions”, niezwykle cenię wszystko, co z takim graniem związane - ostatnio na przykład odkryłem zespół Słomosa z Norwegii, choć w Polsce też mamy mocną scenę stonerową.

AGATA KARCZEWSKA



"Nie interesują nas idealne rzeczy"

Nasza rozmówczyni odwiedziła Salę Maneżową Akademii Rycerskiej 4 kwietnia w ramach trasy „No Lotta Love” promującej niezwykle interesujący (wyróżniony Fryderykiem!) album „On the Wrong Planet” nagrany wspólnie z Johnem Porterem. Tuż przed koncertem udało nam się pogadać z Agatą Karczewską – intrygującą songwriterką, konsekwentnie poszerzającą nadwiślańskie rozumienie pojęcia „country”. O Beatlesów oraz inne muzyczne wpływy, epizod w „Idolu” czy... miłość do Manchesteru United pytał Michał Przechera.

Zacznijmy od prehistorii. Niejednokrotnie podkreślałaś, że Beatlesów śmiało można nazwać najważniejszym zespołem świata. Jak najbardziej jestem w stanie się podpisać pod tym stwierdzeniem. Tymczasem dla milenialsów to często kapela z pokolenia dziadków wyróżniająca się nieco zbyt wysoko zawieszonymi gitarami. Dziwne!

To dla mnie też dosyć zaskakujące. Moim zdaniem The Beatles byli najlepszym zespołem, jaki kiedykolwiek powstał i piętszym, na punkcie którego świat oszalał. Zawsze wydawało mi się, że wszyscy też tak uważają, ale im dłużej rozmawiam z ludźmi na temat muzyki, tym częściej ku mojemu zdziwieniu dowiaduję się, że nie każdy tak myśli. W sumie trochę szkoda. A banalne konotacje związane z „piosenkami dla starszego pokolenia” wynikają z nieznajomości twórczości Czwórki z Liverpoolu. Jeśli ktoś naprawdę na serio posłuchałby ich dyskografii, dotarłoby do niego, jak wielki to zespół. Miał tyle różnych warstw, poruszał w twórczości tak wiele wątków muzycznych i kulturowych, że niesprawiedliwe jest ocenianie Fab Four na podstawie trzech piosenek, które się kojarzy.

W swojej songwriterskiej twórczości reprezentujesz zdecydowanie anglosaskie myślenie o kompozycjach, tak jak właśnie Beatlesi nakazali.

Taka forma zawsze było mi dużo bliższa, a do tego dużo łatwiej mi się myśli w tym języku. Wynika to z faktu, że – z małymi wyjątkami – nie słucham muzyki po polsku. Jeśli zaś chodzi o kapele z naszego kraju, i tak najbardziej lubię te, które tworzą po angielsku – jak Izzy and the Black Trees czy Vermona Kids. Jestem przekonana, że ci artyści też nie sięgają zbyt często po polskie granie.

Ale w naszym kraju to chyba orka na ugorze? Mimo wszystko mówimy o sporej niszy, a w wywiadzie u Wojewódzkiego i Kędzierskiego przyznaliście z Porterem, że pomimo dobrego odbioru „On the Wrong Planet” odbiliście się choćby od możliwości zagrania na większych festiwalach.

Czuję to na każdym kroku – zarówno jeśli chodzi o solową twórczość, jak i z płytą z Johnem. Ale wiedzieliśmy, że tworzymy album, który raczej nie będzie specjalnie popularny. Wszyscy wykonawcy, których lubimy i którzy nas inspirują, nie są w naszym kraju zbyt często słuchani. Według mnie w kwestii muzyki promowanej w rodzimych mediach powinna zajść jakaś wielka zmiana. Mam też wrażenie, że wszystkie polskie festiwale zmierzają ku temu, żeby grali tam dokładnie ci sami artyści, tworzący bardzo podobną muzykę. Nie ma miejsca na cokolwiek trochę innego. Mogłoby się wydawać, że to ten moment, kiedy country czy dark



Agata Karczewska i John Porter - koncert w Legnicy, 4 kwietnia 2025, fot. Aga Jackiewicz (tuLegnica.pl)

americana powinny być na szczycie. Weźmy przykład Beyoncé – popowej artystki, która nagrała płytę country, sygnalizując zwrot mainstreamu w stronę tego gatunku. Nie wiem, czy kiedyś Polska pójdzie w tę stronę, ale jeśli tak, to zajmie to trochę więcej czasu.

Album z Johnem Porterem ukazał się w czerwcu 2023. Jak z perspektywy kilkunastu miesięcy podchodzisz do tego materiału?

Jestem bardzo dumna z tej płyty. Uważam, że nagraliśmy coś wyjątkowego. Bardzo się cieszę, że album jest taki, w gruncie rzeczy, surowy. Nie staraliśmy się stworzyć z Johnem czegoś idealnego, bo takie rzeczy nas nie interesują. Świetnie się też bawiliśmy w trakcie nagrywania; dobrze się nagrywa z myślą, że robimy coś, co przede wszystkim się podoba nam. Wtedy jest szansa, że ktoś dołączy do naszego entuzjazmu.

Niezależnie od wszelkich różnic – płci, wieku, doświadczenia, muzycznych historii – udało się wam nawiązać niewymuszony dialog, co nie jest łatwe.

To konsekwencja tego, że w gruncie rzeczy pod wieloma względami mamy ze sobą sporo wspólnego. Jesteśmy osobami introwertycznymi, które zawsze muszą postawić na autentyczność i naturalność – po prostu nie potrafimy udawać. Jeżeli pojawiłaby się presja i napinka w trakcie nagrywania, bardzo szybko by to wyszło. Nie lubimy takiej atmosfery. Weszliśmy do studia z wizją tego, co chcemy osiągnąć, ale też mieliśmy otwarte głowy na to, żeby eksperymentować i być dla siebie oparciem w pisaniu i wykonywaniu tych utworów. Jestem bardzo zadowolona i myślę, że ta płyta zostanie na zawsze moim sercu.

Mainstream docenił jednak waszą wrażliwość i za „On the Wrong Planet” dostaliście Fryderyka. Może nie do końca trafili z kategorią Album Roku Blues, ale i tak serdeczne gratulacje!

Bardzo dziękuję (*śmiech*) Zawsze lepsza nagroda niż jej brak – nawet w bluesowej kategorii, z którą pewnie nie mamy za wiele wspólnego. Przeglądałam tegoroczne nominacje i Fryderyki stały się o tyle problematyczne, że zamiast rozszerzać kategorie, są one jeszcze bardziej zawężane. Teraz nagroda przyznawana jest w kategorii Album Roku Rock & Blues – jak można się domyślić, pewnie już żadna bluesowa płyta nie doczeka się nominacji, bo wszystko przejmą cięższe brzmienia. Jestem tym zaniepokojona, bo to może znaczyć, że jeszcze bardziej zamknijemy się na inne spojrzenia na muzykę.

Trasę, w ramach której przyjechaliście także do Legnicy, nazwaliście „No Lotta Love”. To dla was wyjątkowo ważny – choć przecież nieobecny na płycie – numer? A może po prostu wybraliście dobry tytuł, w oczywisty sposób przywołujący na myśl Led Zeppelin?

To tytuł piosenki, którą stworzyliśmy już po zakończeniu nagrań do płyty. John zresztą lubi opowiadać o tym na koncertach – u nas nie może być normalnie i oczywiście „No Lotta Love” to widoczne, nieco przekorne nawiązanie do „Whole Lotta Love” Led Zeppelin. Ale w przypadku nazwy trasy chodziło nam jednak przede wszystkim o nasz utwór.

Zatrzymajmy się na moment przy twojej solowej twórczości...

Do EP-ki „You're Not So Special” z 2017 zawsze będę miała gigantyczny sentyment. To moje premierowe wydawnictwo i pierwsze dziecko. Ten materiał był ekstremalnie surowy i zupełnie odmienny od wszystkich innych rzeczy, które potem nagrałam. Jeśli chodzi o „I'm Not Good At Having Fun”, debiutancką długogrającą płytę z 2019, to jednych piosenek słucham z radością, a w kontekście drugich myślę, że mogłam coś zrobić inaczej. Mam jednak świadomość, że to świadectwo pewnego momentu w moim życiu. Niczego nie żałuję i nadal jestem z niej bardzo dumna.



W przypadku najnowszego materiału – czteroutworowego „Not My First Rodeo” z grudnia 2024 – wróciłaś jednak do nieco krótszej formy wydawniczej.

Jeżeli chodzi o życie w rzeczywistości, w której platformy streamingowe przejmują pałeczkę w wydawaniu i promowaniu muzyki, na pewno lepiej jest zdecydować się na single i EP-ki, regularnie dostarczając fanom kolejne porcje muzyki. Nie myślę o tym marketingowo – jeśli napiszę jakąś piosenkę, dobrze byłoby ją wypuścić jak najszybciej, żeby nie straciła na aktualności. Świat ewoluuje, moje emocje się zmieniają, więc nie ma sensu zwlekać.

Odważ się stwierdzić, że w „Harvest” – numerze promującym nową EP-kę – udało ci się przemyścić nieco magii świata PJ Harvey.

Strasznie mi miło, że do niej nawiązałaś, bo to jedna z moich ukochanych artystek. Bardzo ubolewam, że w Polsce nie jest tak uwielbiana. Jeśli myślimy o wczesnych latach dziewięćdziesiątych i grunge'owym przewrocie, wszyscy znają dyskografię Nirvany oraz kapele z Seattle. PJ w tym czasie nagrała natomiast „Rid Of Me” – moim zdaniem najlepszą płytę tego etapu, która do dziś znajduje się nieco na uboczu. Myślę, że to w dużej mierze kwestia genderowa i feministyczna.

Rozmawialiśmy już o Johnie Porterze, tymczasem muszę nawiązać do jeszcze jednej ważnej postaci na twojej muzycznej drodze. Arek Marczyński z Anteny Krzyku powiedział mi kiedyś, że Marcin Bors, z którym współpracujesz producencko, ma ogromny wpływ na nagrywanych przez siebie artystów.

Marcin jest totalnie wyjątkową postacią i muzyczne spotkania z nim za każdym razem są wielką przygodą oraz przyjemnością. Pracuję z nim nie bez powodu. Wiem, że jeśli przyjdę do niego z moją muzyką, on zrobi absolutnie wszystko, żeby to, co przedstawiam, brzmiało najlepiej na świecie i nie zatraciło charakteru, który – mam nadzieję – udało mi się wypracować przez lata. Nie za bardzo wyobrażam sobie pracę z innym polskim producentem.

A propos Anteny Krzyku... „Not My First Rodeo” wydałaś właśnie w tym labelu. To chyba mało oczywisty kierunek dla takiego grania – z drugiej strony dystrybutorem „I'm Not Good At Having Fun” było Asphalt Records...

Czasami znajdujemy odpowiednie wsparcie wśród zaskakujących ludzi i miejsc. Bardzo się cieszę, że moja muzyka jest na tyle nieoczywista i podoba się w różnych środowiskach. A z Arkiem znamy się od dłuższego czasu. To kowboj, który wspaniale zna się na country, słuchamy wielu podobnych artystów i możemy o tym porozmawiać. Od dawna sygnalizował, że lubi moją muzykę i tak... wyszła nam współpraca.

Temat country w naszej rozmowie wraca jak bumerang.

Gdy mówię komuś, że tworzę muzykę country po angielsku, pierwszym skojarzeniem nie jest Johnny Cash ani współcześni artyści, tylko spopularyzowany przez telewizję Piknik Country – stały punkt odniesienia, jeśli chodzi o ten gatunek. Bardzo szanuję festiwal w Mrągowie, występowałam tam kilkakrotnie, ale uważam, że musi się jednak zmienić i pójść z duchem czasu, bo



Porter Karczewska - On The Wrong Planet

takie stereotypowe country nie jest ani interesujące, ani szanowane na świecie, za to mocno zakorzenione w Polakach.

Gdy w 2017 roku szłaś do „Idola”, mówiłaś o rozmontowaniu muzycznego mainstreamu. Dziś patrzysz ciepło na ten etap swojej drogi?

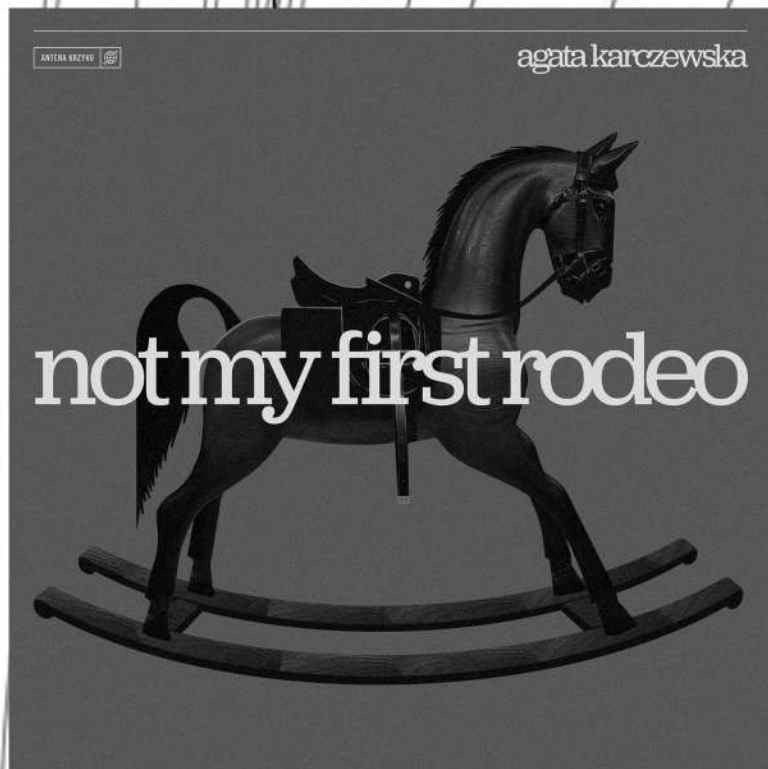
Zawsze będę patrzeć ciepło na „Idola” i spędzony tam czas. To oczywiście nie był wymarzony program dla mnie, ale już zgłaszając się doskonale wiedziałam, że nie będę tam pasować i bardzo dużo rzeczy będzie mnie uwierać. W gruncie rzeczy „Idol” jednak zrobił dla mnie robotę, a dużo osób kojarzy mnie właśnie stamtąd. Udało mi się osiągnąć to, na czym mi zależało, czyli minimalny rozgłos, dzięki czemu mogłam wydać swoją muzykę.

Znacznie bliżej ci do intymności sofarowych występów niż na przykład pol'and'rockowych zasięgów – to chyba fakt?

To diametralnie różne sytuacje i zdecydowanie lepiej mi grać na klimatycznej scenie przed widownią, która jest totalnie na mnie skupiona i słucha moich słów. Wielka scena, jak na Pol'and'rocku, to zupełnie inny rozdział. Możliwość zaśpiewania na niej też było fantastycznym doświadczeniem, ale raczej myślę o tym w kategorii właśnie doświadczenia, a nie planów na przyszłość.

W temacie wpływów i inspiracji nie mogą nie nawiązać też do lldesów, w koszulce których występowałaś.

Bardzo kocham ten zespół, widziałam ich fenomenalny występ na OFF Festivalu. Punk rock zawsze będzie mi bliski, a połączenie punka, bluesa



Agata Karczewska - Not My First Rodeo EP

i songwriterskiego brzmienia świetnie się ucieleśnia w jednej z moich najbardziej ukochanych kapel, czyli The White Stripes. Jack White jest postacią perfekcyjnie łączącą miłość do country z surowym, minimalistycznym brzmieniem. Wyróżnić też muszę takie formacje jak METZ czy Fontaines D.C. – dziś zresztą chyba wszyscy ich lubią – i całą masę żeńskich grup, żeby wymienić choćby wspaniałe Dream Wife.

A czy wspaniałym zespołem możemy wciąż nazwać Manchester United? Pomimo miłości do Beatlesów, w sercu masz jednak nie Liverpool (ani Everton, jak Sir Paul), a Czerwone Diabły!

Na razie, patrząc na miejsce w tabeli, nie przedstawia się to dość optymistycznie, ale jako psychofanka kocham ten klub i mam wrażenie, że wreszcie coś się zmieniło i zespół zrozumiał styl gry Rúbena Amorima. Powinno być tylko lepiej. Póki co na barkach grę ciągnie Bruno Fernandes, którego uwielbiam całym sercem i bardzo mu za to dziękuję, ale liczę, że reszta drużyny dobieje do poziomu Portugalczyka. A moim ukochanym piłkarzem wciąż pozostaje Paul Scholes!

Bo epoka Alexa Fergusona była najlepsza! Takiego trenera jak Szkot już chyba nie będzie...

Ale i on kiedyś musiał odejść na emeryturę, a zespół z takimi tradycjami i potencjałem nie może wyłącznie żerować na geniuszu Fergusona. Mam trochę tylko żal, że zmiany tak długo trwają, a rotacje menedżerskie były czasami nieprzemyślane. United mogło dojść do rozsądnego poziomu dużo szybciej, ale to bardziej kwestia zarządzania niż samych piłkarzy.



KRZYSZTOF SKIBA

"BIG CYC CIĄGLE
DRAŻNI – RAZ POLITYCZNIE,
RAZ OBYCZAJOWO"

Kultowy już dziś program „Lalamido”, kulisy tras Big Cyca, Skiba oraz Konjo jako pionierzy polskiego podcastu, wydawane 30 lat temu czasopisma dla nastolatków czy... Fiodor Dostojewski. Lista tematów, które naturalnie pojawiają się w rozmowie ze Skibą, jest równie kolorowa i niejednoznaczna, co nasz rozmówca, od lat konsekwentnie przemierzający Polskę wzdłuż i wszerz. *Big Cyc regularnie koncertuje, a przez ostatni weekend przy okazji promocji książki zrobiłem trasę Gdańsk – Katowice – Wrocław i przez parę dni nie wiedziałem, gdzie mam przód, a gdzie tył – zanim rozpoczęliśmy wywiad, ten artysta mocno rozrywkowo pokrótce zreferował swoje ostatnie aktywności. No to nie pozostało nic innego, jak tylko zaprosić Was w podróż sentymentalną! Zaczepiał Michał Przechera.*

Nie jesteśmy co prawda periodykiem literackim, ale nie mogą nie zacząć od wydanej w listopadzie 2024 twojej – siódmej już – książki, zatytułowanej „Kobiety są naiwne”. Wygląda na to, że ludzie jednak chcą czytać!

Myślę, że rynek wydawniczy ostatnio trochę się rozkręcił i jest lepiej z czytelnictwem. W moim wypadku to trochę specyficzna sytuacja. Ludzie są ciekawi Skiby i – na szczęście – moich książek, ale popularność przede wszystkim przyniosły mi piosenki Big Cyca i felietony. Nie mam na koncie wielu tytułów i ogromnych nakładów – wydawnictwa są zajęciem dodatkowym, uzupełniającym moje występy czy programy komediowe. Ale na premierach w różnych miastach zjawiły się tłumy, w tym cała plejada gwiazd. W Łodzi gościliśmy dawno niewidzianego, choć będącego w świetnej formie Tadeusza Drozdę czy Jacka Kawalca. W Gdańsku

zameldował się mój stary znajomy Tymon Tymański przebrany w strój błazna, natomiast w Warszawie była między innymi Olga Borys, która czytała fragmenty „Kobiety są naiwne”, a także Andrzej Grabowski, Grażyna Wolszczak, czy Krzysiek Sokołowski z Nocnego Kochanka. A jeśli metalowcy czytają książki, to już sukces! (śmiech). To banał, ale lektura jest ogromną inwestycją. Nawet jeśli mówimy o formie lekkiej, łatwej i przyjemnej, choć moim zdaniem nawet Dostojewski jest bardzo przystępny! Dobrym przykładem jest chociażby ciągle aktualna, polifoniczna powieść „Biesy” będąca satyrą na rosyjskich rewolucjonistów. My też kpiliśmy ze współczesnych zacządziałych anarchistów myślących, że stworzą nowy lepszy świat. Przy okazji muszę też polecić mojego ulubionego autora kryminałów – Macieja Siembiedę z Gdańska, który prawdziwe historyczne wątki ubarwia fikcją. Od razu po przeczytaniu jego książek ma się ochotę na odnalezienie ich dawnych źródeł!



To teraz, dla równowagi, wehikuł czas nastawiamy na dość odległą przeszłość. „Magazyn Muzyczny” z czerwca 1990, jeden z pierwszych większych artykułów o Big Cycu. „Anarchizm komercyjny” – głosi podtytuł. Słuchając waszych ostatnich wydawnictw, „Wolności słowa na kartonie” (2023) i „Manifesto” (2024), miałem wrażenie, że to wciąż aktualny opis.

To był żart, sprytna artystyczna pułapka, na którą – jak widać – dałeś się nabrać nawet po 35 latach! (śmiej) Powyższe określenie wcale nie pochodzi od dziennikarzy, ja je wymyśliłem na potrzebę prowokacji. Nie ma czegoś takiego jak anarchizm komercyjny, to tylko nazwa, jak dadaizm czy surrealizm. Ale i tak wkurzyłem tym parę osób! W końcu anarchizm to idea rewolucyjna, a tu Skiba zaczął coś gadać o komercji. Zresztą w wywiadach z nami można znaleźć mnóstwo takich prowokacji. Reklamowaliśmy się między innymi jako rock 'n' roll z ludzką twarzą, ale co to w ogóle znaczy? Chyba najbardziej podobał mi się i najlepiej opisywał Big Cyc slogan Fantazja zwycięży kiełbasę – niektórzy nie wiedzieli nawet, o co nam chodziło. Używaliśmy gastronomicznego synonimu prząsnej codzienności na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, czyli w czasach, gdy tej fantazji brakowało. „Wolność słowa na kartonie” jest konsekwencją powrotu do naszych źródeł tekstowych i muzycznych. Gramy ostro i pokazujemy, że wciąż potrafimy robić coś więcej, niż tylko wesołe przebojki o piciu piwa, choć „Rudy się żeni” czy „Facet to świnią” to wciąż koncertowi faworyci. Lubimy się wygłupiać i wkurzamy się nie na tę czy inną partię, tylko na głupotę. Niestety,

brak wyobraźni w Polsce ma wielką przyszłość i dlatego nieustannie staramy się z tym walczyć. (śmiej)

Ja jednak będę bronić trochę tego „anarchizmu komercyjnego” – bo jak inaczej nazwiemy Chumbawambę z czasów „Tubthumping”, czy nawet pistolsowskie podrygiwania Rottena z czasów pierwszej reaktywacji? (śmiej) Ale wróćmy do najnowszych bigcycowych płyt. Po najdłuższej w historii przerwie w wydawaniu premierowych krążków rzeczywiście tak ważny był powrót do korzeni?

„Wolność słowa na kartonie” odbierać należy jako pożegnanie PIS-u i tej epoki, choć czy to pożegnanie ostateczne? Trochę wszyscy daliśmy się uspić, że teraz możemy grillować i nie interesować się polityką, a zwolennicy systemów totalitarnych nie śpią. „Manifesto” natomiast jest lżejsze i po ciężkim czasie pozwoliło nam trochę odetchnąć i nabrać powietrza, bo ile można o poważnych sprawach. Zawsze przeplataliśmy zaangażowane, społeczne czy wręcz interwencyjne numery z rozrywkowym rockowym graniem, więc to dla Big Cycy całkowicie normalne. Teraz na przykład będziemy kręcić teledysk do piosenki „Goła klata”, która traktuje o napinaniu mięśni, wyśmiewając mity męskości i towarzyszące mu komiczne postawy. To bardziej komentarz w stylu utworu „Dres”, który pewnie będzie budził kontrowersje, bo ktoś może poczuć się ośmieszony. Big Cyc ciągle drażni, raz politycznie, raz obyczajowo! Wciąż jesteśmy bardzo aktywni, a ostatnie płyty wyszły w odstępie zaledwie kilku miesięcy, co było nawiązaniem do naszych początków, gdy przez

sześć lat co roku wydawaliśmy premierowy album. Dziś wytwórnie byłyby przerażone taką częstotliwością. (Śmiech) Coraz dłuższe przerwy w nagrywaniu nowych piosenek były też konsekwencją zmęczenia materiału – nie chcielibyśmy przecież zanudzić słuchaczy.

Podczas pandemicznej blokady też nie próżnowaliście – w 40. rocznicę wprowadzenia stanu wojennego zaprezentowaliście koncertówkę „Przystanek wolność”. Nieco wcześniej w ramach Złotej kolekcji ukazała się też wasza kompilacja „Jak Słodko Zostać Świrem”. Lata mijają, ale na starego Big Cyca ciągle jest popyt?

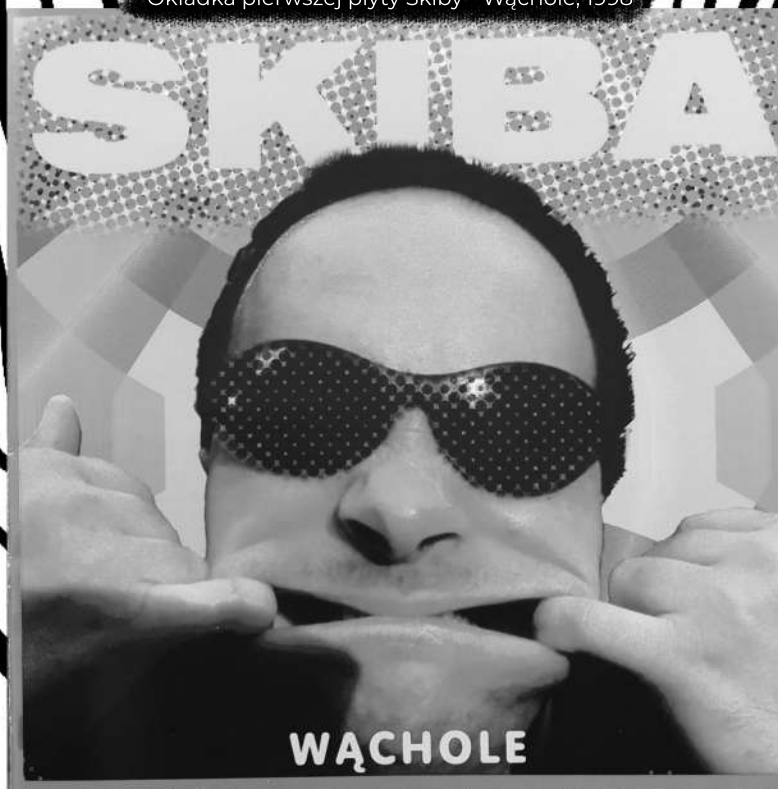
„Przystanek Wolność” to znak czasów – wiadomo, że ze względu na obostrzenia nie można było grać koncertów, a przez kilka dobrych miesięcy wszystkie zespoły znalazły się na postojach. Żeby się w tej pandemii nie zanudzić, postanowiliśmy ją spędzić nie przed telewizorami, a twórczo. Wpadliśmy na pomysł wydania płyty i DVD z koncertu, który nagraliśmy w klubie Przepompownia w Ostrowie Wielkopolskim. Choć w kontekście tego specyficznego eksperymentu może powinienem powiedzieć raczej o słuchowisku telewizyjnym? Mówiąc najogólniej, dobraliśmy piosenki wolnościowe z różnych okresów Big Cyca, a ja do tego dograłem zapowiedzi i skeces: raz byłem cenzorem, raz opowiadałem ciekawostki. Ogromnym wyzwaniem było jednak występowanie dla pustej sali; pod sceną gościliśmy zaledwie kilku przyjaciół. Jesteśmy typowym zespołem „kontaktowym” i nie istniejemy bez publiczności – ludzie są nam potrzebni jak rybie woda. Koncertówka powstała nie w celu wystrojenia naszych notowań, ale dla zabicia nudy i jako umilenie trudnego czasu sobie i fanom. Projekt został pozytywnie oceniony – ja jestem zadowolony przede wszystkim z faktu, że daliśmy szansę młodym filmowcom, którzy spojrzeli na nasz koncert świeżym okiem i efekt wyszedł bardzo dobrze. O szczegóły naszej składanki z cyklu Złota Kolekcja należałoby pytać raczej naszą menadżerkę. Dziś nie pamiętam nawet daty premiery tego wydawnictwa, ale bardzo się z niego cieszę. Takie kompilacje ukazują się co jakiś czas, bo jest ku temu potrzeba. Są słuchacze, którzy lubią mieć pod ręką największe hity w formie fizycznej. Choć coraz więcej samochodów nie posiada odtwarzaczy, ale na grille czy domówki stary dobry kompakt zwykle sprawdza się lepiej niż YouTube.

Chyba lekko dziś zapomnianym wycinkiem twojej działalności są solowe płyty. W końcu „Wąchole” premierę miały w 1998, a „Dla dorosłych” w 2003. I choć to zdecydowanie jajcarskie propozycje i choć nigdy nie siłłeś się na zostanie wokalistą, znalazły się tam całkiem ciekawe artystyczne momenty – w komentarzu pod wrzuconymi na YouTube



„Wąchołami” ktoś porównał nawet utwór „Matka Edwarda” do twórczości... Toma Waitsa.

Podczas nagrywania troszkę pobawiłem się w piosenkę aktorską, kabaretową, wykorzystałem technikę rapowania – choć oczywiście nigdy nie miałem ambicji, żeby stać się częścią polskiej sceny hip-hopowej, to zdecydowanie bardziej parodia tego stylu. W Big Cycu nie zawsze mo-głem się wygadać. Wiadomo, piosenka rockowa wymusza krótką, beatlesowską formę na zasadzie „zwrotka-refren-zwrotka-refren”, plus ewentualnie dwa refreny powtórzone na koniec. Chłopaki zawsze mnie naciskali, żebym starał się pisać zwieźle. Próbowałem ripostować, że Dylan pisał po szesnastu zwrotek, ale dziś przecież mało kto ma czas na słuchanie długich piosenek, a co dopiero płyt. Współczesny słuchacz bywa już tak otępiły, że często popowe przeboje z radia zaczynają się od refrenu, żeby ten najbardziej melodyjny kawałek nie uciekł i od razu wbił mu się w głowę. Dopiero jak się rozbuja melodia, można zaszerwować jakiś tekst. Tak wygląda marketingowa strategia. Z jednej strony przerażająca, ale tak po prostu już jest. Kiedyś trafiłem na zasmucającą statystykę – przeciętny internauta męczy się po przeczytaniu półtorej strony maszynopisu. Jeszcze raz wróć do Dostojewskiego i przypomnij, że „Biesy”, „Zbrodnia i Kara” – „Bracia Karamazow” to łączące nawet po osiemset stron cegły. A ktoś to kiedyś czytał – i co więcej, napisał!



Nie lubią mnie psy, koty, konduktorzy i Rafał Księżyk z „Brumu” – tak sam opisałeś się we wkładce do „Wąchołi”. Skąd ta antypatia ze strony legendy polskiego dziennikarstwa muzycznego? (śmiech) Sam po latach wracasz do swoich utworów?

Nawet już nie pamiętam tej notki. Wtedy na porządku dziennym były takie zabawne dogryzania kolegom-krytykom. Ale muszę przyznać, że moje płyty miały swoje wielkie chwile i spotkały się z całkiem sporym, niewyobrażalnym dziś, odzewem. Wtedy co prawda sprzedaż płyt już sukcesywnie spadała, ale internet wciąż jeszcze nie dyktował reguł, więc to były naprawdę przyzwoite liczby. „Wąchole” sprzedały się w nakładzie pomiędzy trzydzieści a czterdzieści tysięcy egzemplarzy, a „Dla dorosłych” znalazło trochę mniej nabywców. Ale prawda jest taka, że w dużej mierze pozapominałem też te utwory – w końcu nie nagrywałem płyt regularnie, nie koncertuję z solowym materiałem, a wiele lat temu przerzuciłem się na inne formy działalności, zajmujące mnie bardziej niż solowe numery. Jeśli chodzi o działalność pod własnym nazwiskiem, obecnie przede wszystkim jeżdżę po całym kraju z programem komediowym. Ta przygoda zaczęła się od wydania w 2018 roku biografii „Ciągłe na wolności” i tak trwa do dzisiaj, a bywały lata, że potrafiłem dać osiemdziesiąt występów.

Szybko odnalazłeś się na scenie jako totalny solista? Do tej pory zwykle działałeś przecież w przeróżnych kooperacjach.

Błyskawicznie! Na samym początku, przy okazji spotkań autorskich, dziennikarze zaproszeni przez wydawcę zadawali mi przeróżne pytania,

ale często chcieli zabłysnąć i – niestety – kończyło się to przynudzeniem. Po kilku takich wieczorach stwierdziłem, że wszystko najlepiej ogarnę sam.

Przygotowałem gotową opowieść zarówno o książce, jak i historii Big Cyca, która formą zaczęła najbardziej przypominać quasistand-up: trochę żartów, nieco prawdziwych anegdot i szczypta historii zmyślonych. Pierwszy raz zaprosili mnie ludzie z rockowego klubu Potok w Warszawie, którzy nie chcieli reklamować tego wydarzenia jako tradycyjnego spotkania autorskiego, więc stwierdzili, że będzie to biletowany stand-up.

Bałem się odbioru, jednak o dziwo okazało się, że klub był pełen, a publiczność się dobrze bawiła. Ale komedia musi żywić się teraźniejszością, więc regularnie dodaję nowe żarty. Nie chcę się jednak skupiać tylko na tej płaszczyźnie, więc od pewnego czasu szykuję trzecią solową płytę. Mam już nieco materiału, który rodził się w pewnych bólach; dogram jeszcze ze trzy numery i album powinien być gotowy. Zresztą już pojawiły się drobne zapowiedzi nadchodzącego krążka.

W sieci zobaczyć można teledysk do utworu „Dziesięciu fajnych Polaków” z 2021 roku, choć znacznie większą popularność zdobyło wideo „Dawaj ostro” z pandemicznego serialu „Ekler” z udziałem Rafała Rutkowskiego, Piotra Cyrwusa, Ewy Telegi czy fantastycznego Jerzego Schejbala w roli biskupa. Akcja tej produkcji działa się w stacji pewnego ojca dyrektora, a emisję zakończono po czterech odcinkach z braku funduszu i wstrzemięźliwi sponsorów.

To jeszcze o kolejnym znaku czasów. Jednym z twoich największych hitów był „Złoty łańcuch”. Pamiętam, że teledysk do tego przeboju wyśmiewającego miłośników błyszczącej biżuterii w końcówce 1998 latał w Atomic TV w imponującej rotacji, a dziś na próżno szukać go nawet na YouTube.

Jeśli ktoś chce dokładniej poznać historię tego teledysku, odsyłam do biografii – tu sprawa może nie jest kryminalna, ale na pewno tajemnicza! Zaginęła stara telewizyjna taśma Betacam z oryginałem tego teledysku.

Z pewnością nie jest to całkiem zaginiony materiał – starzy fani mają go nagrany jeszcze na coraz trudniejszych do odtworzenia VHS-ach, ja w swoim archiwum pewnie też bym znalazł jakieś fragmenty, bo w „Lalamido” nigdy nie puściliśmy „Złotego łańcucha” w całości.

Usprawiedliwiam się trochę swoim bałaganiarstwem, nigdy nie dbałem o takie rzeczy, a ten numer promowaliśmy jeszcze w czasach praktycznie przedinternetowych i nie było możliwości uploadu na YouTube. Klip do „Wąchołi” kiedyś za to zamieścił ktoś niezwiązany ze mną, opisał jakimiś dziwnymi tagami i nie było to łatwe do znalezienia. Jest za to wrzucone jeszcze w 2008 roku sympatyczne wideo do „Každy coś ma” – nośnej piosenki, którą śpiewałem na koncercie premier na festiwalu w Opolu; to zabawne, że w ogóle tam zostałem zaproszony.



**Uważasz, że dziś „Lalamido” miałoby rację bytu?
W końcu absurdów w rzeczywistości A.D. 2025
nam nie brakuje...**

Wiele osób pyta, dlaczego nie powróciliśmy i czy planujemy comeback, ale myślę, że dziś taka forma nie zdałaby już egzaminu. To był twór lat dziewięćdziesiątych będących wielkim tygłem, którego czas już trochę minął. Z jednej strony panowała wszechobecna radość z upadku komuny, z drugiej rodził się dziki kapitalizm. Rodakom trudno było odnaleźć się w nowej rzeczywistości, wypływały coraz nowe afery, upadały PGR-y, na ulice wylegli dresiarze, a wszystko w towarzystwie dźwięku kasety sprzedawanych ze szczęk. Nie należy zapominać, że obaj z Konjem byliśmy zaangażowani chłopakami z podziemia – on współtworzył Totart i miał zakaz występowania w wielu klubach w Polsce, ja natomiast udzielałem się w Pomarańczowej Alternatywie, Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego czy Ruchu Wolność i Pokój, po drodze zaliczając odsiadkę w pierdłu. Byliśmy zahartowani w bojach i mogliśmy się wyżyć, wygłupiając do woli. Ale oczywiście, takie myślenie by się teraz przydało, bo wciąż brakuje nam dystansu, jesteśmy nadęci i napompowani – walczymy o mistrzostwo świata i Polskę od morza do morza – a „Lalamido” wykpiwało i sprowadzało na ziemię takiej postawy.

Pewnie nie wszyscy wiedzą też, że z Konjem w 1995 roku byliście twarzami składanki „Szaleńcy z Lalamido prezentują”: można tam było usłyszeć Myslovitz, Kult, Dezertera, a nawet... Budkę Suflera. Żeby było ciekawiej, że patronat medialny nad tym wydawnictwem objęło popularne wówczas pismo dla nastolatków „Nasza Miss”.

Na fali popularności „Lalamido” razem z Konjem działaliśmy jako konferansjerzy od Gdańska po Zakopane. Prowadziliśmy na przykład imprezy wielu znacznych zespołów – jak choćby wielki koncert Maanamu celebrujący zdobycie platyny przez płytę „Róża”. Kora była wielką fanką naszego programu i to właśnie ona nas zaprosiła. Ale wróćmy do płyty.

Nasza wytwórnia, Silverton, chcąc zdyskontować naszą rozpoznawalność i oryginalnie opakować swój produkt, zaproponowała, żebyśmy zostali twarzami realizowanej przez nich składanki z polskim rockiem.

Zgodziliśmy się – w końcu niewiele programów sygnowało wtedy swoją nazwą muzyczne wydawnictwo, i to na kompaktach. Nie powiedziałbym jednak, że dobór kapel był przypadkowy – pojawiły się tam piosenki zespołów bywających w „Lalamido”, jak chociażby zaprzyjaźnionego Dezertera, ale niektóre utwory trafiły tam ze względu na kontakty wydawcy chcącego, żeby ten zestaw trafił do jak najszerzego widza. Dużą frajdę mieliśmy za to z robienia fotokomiksu, który znalazł się w książeczce. Raz na jakiś czas docierają do mnie głosy, że fani odkrywają ten artefakt na zakurzonych półkach jako pamiątkę z epoki.

„Lalamido” zdecydowanie wyróżniało się feerią barw na tle siemniężnej telewizji lat dziewięćdziesiątych, stojącej w rozkroku między komunistyczną szarżą a pseudokomercyjnym kiczem.

Kluczem do sukcesu „Lalamido” była też współpraca z fantastycznymi ludźmi. Szczególnie w kontekście oprawy plastycznej trzeba wymienić kilka istotnych nazwisk. Program powstał w tej formie dzięki nieżyjącemu już Yachowi Paszkiewiczowi – pierwszemu reżyserowi i autorowi premierowej oprawy graficznej.

Korzystaliśmy też z talentów duetu złożonego z Andrzeja Awsieja, którego także niestety nie ma już z nami, i Joanny Kabali, jego partnerki życiowej. To byli fantastyczni artyści, absolwenci Państwowej Wyższej Szkoły Plastycznej z Gdańska – młodzi, zdolni, pełni pomysłów, orientujący się również w technologicznych trendach. Tła, które tworzyli na potrzeby „Lalamido”, w tamtym czasie były wyjątkiem na skalę Polski i nikt inny nie mógł pochwalić się takimi wizualizacjami.

Rzecz jasna najprostszym skojarzeniem jest Monty Python i animacje Terry'ego Gilliamy, ale łatwo w tym zauważyć elementy estetyki od Jacksona Pollocka po Salvadora Dalego, choć nie chcę się w tym temacie specjalnie wymądrzać, ponieważ nie jestem krytykiem sztuki. Gdy się dobrze przypatrzysz, zauważysz tam drugi, a nawet trzeci plan – w tłach działa się niesamowite, dla wielu było szokujące rzeczy. Ktoś powiedział, że ten program oglądał z wiaderem przy odbiorniku, bo bał się, że obraz mu się wyleje z ekranu. Efekty bujanej kamery rzeczywiście mógł tak zadziałać.

Po tej przaśnej, szarej, propagandowej telewizji komunistycznej „Lalamido” było jak kolorowy granat rzucony w gniazdo os, który pokolorował mrowisko zwane Telewizją Polską.

Ale to nie jest do końca tak, że „Lalamido” nie doczekało się kontynuacji. Sukcesorem programu był przecież „Psychomagiel” - tak naprawdę jeden z pierwszych (pewnie nie do końca świadomych) podcastów w Polsce! 9 odcinków słuchowiska powstało w 2000 roku. Jak to się stało, że tym razem trafiliście z Konjem do internetu?

Propozycja wyszła ze strony naszego kumpla, który pracował dla Wirtualnej Polski i zaproponował nam stworzenie takiego cyklu, z perspektywy czasu „Psychomagiel” rzeczywiście można odbierać jako internetową kontynuację „Lalamido” w stylu podcastu, choć wtedy nie do końca wierzyliśmy w tę inicjatywę. To były początki polskiego internetu, a my go jeszcze niezbyt kumaliśmy. Ale rzeczywiście, podobnych rzeczy wtedy można było szukać ze świecą. Mało osób pamięta tę audycję, ale niektórzy wspominają, że słuchali jej całą rodziną. (śmiej) To znaczy, że nasze gadanie musiało robić jakieś wrażenie. W niszowej stacji Tele 5 w 2007 roku zrealizowaliśmy też dziewięć odcinków programu „Skibomagiel”, który również czerpał z filozofii „Lalamido”. Zebraliśmy naprawdę dobrą ekipę. Oprócz mnie i Konja pojawiał się tam Jarek Janiszewski z Bielizny i Czarno-Czarnych czy mój znajomy z Gdańska, satyryk Maciej Kraszewski. Jeśli ktoś jest ciekawy, niektóre skecze można znaleźć na YouTube.

Postać Konja przewija się przez cały nasz wywiad. Nie sądzisz, że on też mógł dokonać więcej na płaszczyźnie paramuzycznej? „Randka z mutantem” nagrana z Szelestem Spadających Papierków była wybitnym zlewem...

„Płyta Redłowska” Szelestu Spadających Papierków to typowo gdański, kumpelski eksperyment. Brali w nim udział świetni muzycy, a zarazem ciekawi ludzie z trójmiejskiego środowiska alternatywnego, jak Sławek „Ozi” Żamojda czy Szymon Albrzykowski. Ta kultowa grupa była mocno efemeryczna, niszowa, rzadko koncertowała i jej występy odbieraliśmy jako pojedyncze wielkie wydarzenia. Oprócz „Randki z mutantem” Konjo próbował nagrywać coś okołomuzycznego, ale raczej nie czuł się w tym dobrze. Dostawał nawet propozycje, żeby zarapować w typowo komercyjnych dyskotekowych kawałkach, ale tego nie czuł i nie kontynuował tej drogi.

Drugą połowę lat dziewięćdziesiątych, czas swojej największej popularności, Big Cyc spędził pod skrzydłami Silvertonu – ich charakterystyczny hologram znalazł się na takich płytach jak „Colonka flaki i inne przysmaki”, „Z gitarą wśród zwierząt” czy „Pierwsza komunია, drugie śniadanie, trzecia Rzeczpospolita”, nie mówiąc o reedycjach wcześniejszych krążków. W czasach przed ekspansją majorsów śląskie wydawnictwo całkiem sprawnie odkroiło spory kawałek branżowego tortu.

Silverton był przede wszystkim królem kaset magnetofonowych. W pewnym momencie wydawali praktycznie całą panoramę polskiego punk rocka. Oprócz Big Cycha zarzucili rynek między innymi nagraniami takich formacji jak Dezerter, Włochaty, Smar SW, Fort B.S., Bunkier, Sedes, Para Wino, WC, KSU, Psy Wojny, Sajgon, a nawet Piersi z Kukizem. W katalogu mieli też albumy Kata i solowe płyty Romka Kostrzewskiego, w tym kontrowersyjną na tamte czasy „Biblię Satanistyczną”. Dystrybucja przebiegała naprawdę sprawnie, taśmy były dostępne na bazarowych łózkach polowych, a następnie praktycznie w każdym sklepie muzycznym.

W żadnych dotychczasowym wywiadzie nie powoływałem się na „Naszą Miss”, a tu muszę zrobić to aż dwukrotnie! (śmiej) W 1996 roku do jednego z numerów tego periodyku dodano kasetę z „Makumbą” – w wersji kanonicznej oraz w opcji karaoke – i nagrany przez siebie pozdrowieniem. Strzelam, że to też była inicjatywa wydawcy?

„Makumba” to przebój, który znalazł się na około 250 listach przebojów w większości rozgłośni w Polsce, więc chęć posiadania tej piosenki była w tamtym okresie bardzo powszechna. Wciąż na koncertach opowiadam, że wybrano mnie chłopakiem numeru w jakimś piśmie dla dziewczyn, prawdopodobnie Bravo Girl – można było wyciąć mój plakat i powiesić nad łóżkiem. W poprzednim numerze tak wyróżniony został sam John Travolta (śmiej). Dziś wszystko się zmieniło – my, nasi fani i realia medialne. Ostatnio udzielałem wywiadu do kwartalnika archeologicznego, a kilka lat temu Big Cyc zagrał w muzeum etnograficznym. To naturalny bieg czasu.

Czy w latach dziewięćdziesiątych doświadczyliście autocenzury? Singiel promujący utwór „Kręcimy pornola” zatytułowaliście rozpoznawalnym fragmentem tekstu – „Teresa Orłowsky Już Tutaj Dzwoniła”. „Pornol” był za mocny na wrzucenie go na okładkę?

Absolutnie nie wynikało to z autocenzury. Wpadliśmy na pomysł, żeby singiel zatytułować inaczej niż utwór, ale nie wynikało to ze strachu, tylko z chęci pokombinowania. Nikt nie bał się ani nie odbierał źle słowa „pornol”, choć niektóre stacje były rzeczywiście ostrożne. Pamiętam zabawną anegdotę z czasów, gdy w notowaniach list przebojów jeszcze realnie liczyły się głosy słuchaczy. W Radiu ZET nowością było komputerowe zestawienie hitów – w przeciwieństwie do pocziwej listy Niedźwiedzia w starej Trójce, gdzie wysyłało się pocztówki, tutaj wszystko liczyła maszyna i o wyniku decydowała siła słuchaczy. Tak się złożyło, że w okresie bożonarodzeniowym nasi fani wysłali mnóstwo głosów na „Kręcimy Pornola” i obok przebojów w stylu „śnieżek prósz, marzną uszy” czy George'a Michaela śpiewającego o ostatnich świętach w dużej ogólnopolskiej

rozgłośni znalazł się nasz mało wigilijny numer. (podobna sytuacja miała miejsce w 2009 roku z *Rage Against The Machine* i ich singlem do „Killing in the Name Of” szturmującym dzięki zorganizowanej internetowej akcji świąteczną listę BBC – przyp. aut.). Ale wszyscy byli zdziwieni! Obecnie to niemożliwe, bo rządzą korporacyjne zasady i polityczna poprawność sprawiająca, że ten prześmiewczy tekst byłby uznany za niepoprawny, a więc wycofany i zakazany. To dotyka komedii; boimy się śmiać i opowiadać żarty, żeby kogoś nie urazić. Ale jak nadmieniałem wcześniej, świat nie stoi w miejscu i pozostaje to zaakceptować.

Jako „niemuzyczny” element Big Cya z pewnością na wiele utworów możesz spojrzeć bardziej z perspektywy fana, niż koledzy instrumentalisci. Które nieoczywiste piosenki są szczególnie bliskie twojemu sercu? Mi do głowy przychodzą choćby takie tytuły, jak „Tylko mamona” czy kłusujące tekstowo „Wyróżnienie”.

W tej kwestii moje poglądy idealnie krzyżują się z gustem fanów, którzy są z nami od początku. Z największym sentymentem podchodzę do ulubionej płyty starych punków, czyli „Wojny plemników” – naszego najostrzejszego materiału na pograniczu punka i metalu. Czasami aż nie wierzę, że to nagraliśmy. Równie ostro jest w warstwie tekstowej, za którą w tym przypadku w całości odpowiadałem ja. Big Cyc dla wielu po tym wydawnictwie się skończył niczym Metallica po „Kill 'Em All”. Później rzeczywiście zaczęliśmy grać lżej i bardziej do ludzi – w końcu trzy lata po „Wojnie Plemników” wydaliśmy „Z Gitarą Wśród Zwierząt” z naszymi największymi hitami.

Myślę, że ewolucję waszego stylu pokazywały też koszulki, które na przestrzeni lat i płyt nosiliście. Od Nomeansno i Ratos de Porão po Citizen Fish, Transplants i... Black Sabbath.

Wiele osób mocno by się zdziwiło, widząc moją domową playlistę. Pewnie mało kto mógłby się spodziewać, że jestem miłośnikiem acid jazzu, a ostatnio regularnie wracam do nokturnów Chopina, które wprost uwielbiam! Na nowej płycie w utworze tytułowym padają słowa o słuchaniu Clash i Sex Pistols – choć niezmiennie doceniam klasyków punka, raczej nie zapętlałem ich numerów, bo katowałem takie granie przez całe życie i znam je na pamięć. Rozwój jest całkowicie naturalnym procesem, choć zatwardziali fani pewnie by chcieli, żebyśmy do końca życia grali jak w 1993, ale tak się nie da. Ale wciąż lubię odkrywać świeże, ostre kapele. Z wielkim zainteresowaniem sprawdzam zespół mojego syna, Danziger. Kontynuując niełatwą drogę źródłanego, zaangażowanego punka pokazują, że można ciągle robić coś interesującego i twórczego. Młodsze pokolenie ma już swój świat, wrogów i wojny. Grają po swojemu i moim zdaniem interesująco – są osłuchani i świadomi tego, co na świecie się dzieje muzycznie.



Nie pamiętam już źródła, ale w jednym z wywiadów Maleńczuk mówił, że w trudnych realiach wena go nie opuszczała, a w bezpiecznych czasach, gdy jego głównym zajęciem stała się gra z córkami na konsoli, pojawiły się twórcze wertepy. Na wydawnictwach Big Cya z XXI wieku jest znacznie mniej twoich tekstów, ale chyba nie możemy mówić o syndromie wypalenia, czy tam wypisania?

Ta zmiana wynika zwyczajnie z ewolucji podziału pracy. Nie mam syndromu wypalenia, ale z oczywistych względów piszę mniej piosenek. Dżej Dżej komponuje melodie i łatwiej mu tworzyć dźwięki do własnych tekstów. To nie jest tak, że się wypisałem – w końcu ciągle działam jako aktywny felietonista. To właśnie Maleńczuk, i to w dobie swoim największych nakładów, spytał mnie, jak to robię, że co tydzień wymyślam żarty do felietonów. Zasugerował, że to musi być potworna robota. Jan Krzysztof Kelus powiedział kiedyś, że piosenki do niego przychodzą, i ja czuję to podobnie. Jak byłem młodszy, przychodziło do mnie trochę więcej pomysłów, ale czasami i w tym starym ciele zapłonnie jeszcze jakaś iskra. Wciąż w kwadrans mogę napisać dobry tekst. Ostatnio stworzyłem mocno satyryczną historyjkę o polowaniach i myśliwych – napisałem ją na kolanie w hotelu. W tle słyszałem odgłosy imprezujących kolegów, a z racji, że ograniczam procenty i nie chciałem skusić na kolejną buteleczkę, spontanicznie usiadłem przed pustą kartką. W głowie miałem tylko pierwszą zwrotkę i chciałem ją zapisać, a potem samo się wymyśliło. Otrzymywałem też propozycje pisania dla innych, ale strasznie bym się męczył z takimi zleceniami. Nie jestem zawodowym tekściarzem jak choćby Kasia Nosowska, to zupełnie inna bajka.

Na finał muszę poruszyć legnicki wątek. Big Cyc w okolicach wydania pierwszej płyty miał okazję wystąpić w holu Akademii Rycerskiej w ramach Satyrykonu. Słyszałem, że nie był to normalny koncert...

Co więcej, był bardzo nietypowy, a nawet trochę niebezpieczny! To był karkołomny pomysł organizatora, który chyba musiał wziąć nas za studencki kabaret, bo musieliśmy zagrać pomiędzy szklanymi ekspozycjami z rysunkami satyrycznymi. Nasza publiczność była punkowa, więc baliśmy się, ktoś podskoczy, a wszystko się potłucze. Na szczęście nic groźnego się nie stało, choć występowaliśmy z duszą na ramieniu.



PREZYDENT MIASTA LEGNICY MACIEJ KUPAJ ZAPRASZA NA KONCERT

NOSOWSKA / KRÓL

13.06.2025 GODZ. 20:30

LEGNICKIE CENTRUM KULTURY
DZIEDZINIEC AKADEMII RYCERSKIEJ
UL. CHOJNOWSKA 2

BILETY

I pula (do 30 kwietnia): **125 ZŁ**

II pula (1 maja – 12 czerwca): **135 ZŁ**

W DNIU KONCERTU: **150 ZŁ**

DOSTĘPNE W GALERII SATYRYKON ORAZ SERWISIE **eBilet.pl**



SATYRYKON
LEGNICA



www.lck.art.pl



ATUT RENTAL



plus



lca.pl



WROCŁAWSKA



nami



panorama



ZŁOTE PRZEBJOJE

ATUT LEGNICA





Cabaret Grey - fot. Karol Budrewicz

CABARET GREY

Druga fala zimna nadchodzi!

„Second Wave” – tak będzie brzmiał tytuł naszego nowego albumu. Na płycie znajdziecie osiem utworów utrzymanych w dobrze Wam znanej stylistyce, ale w nowej odświeżonej wokalne. Do składu dołączyła Mysza (Magdalena Józwicka), którą po cichu podkradliśmy z wrocławskiego punk-rockowego zespołu PUNKt Ewakuacji, kolejny raz narażając się na obrażenia fizyczne i towarzyską ekskomunikę ;) Ale było warto! O czym przekonacie się już niebawem...

Zapowiedź takiej treści trafiła 18 marca na fanpage Cabaretu Grey. Darek „Leszy” Borowiec, spiritus movens (choć w ostatnim czasie znacznie bardziej spiritus niż movens) tej ekipy, ostatni raz na łamach „Strefy De...Press'zyn” gościł w piątym numerze datowanym na październik/listopad 2019. Jak to już było dawno temu! A wrażenie czasowej przepaści z pewnością jeszcze bardziej potęgował zarówno fakt lockdownowych blokad, jak i cisza docierająca z cabaretowego obozu. Grupa co prawda próbowała odnaleźć się w pandemicznym wariacie – zagrała między innymi streamowany koncert na scenie Sali Maneżowej – jednak brak większego sensu wydawania nowego materiału w tych okolicznościach, a następnie zawirowania personalne w postaci zakończenia współpracy z wokalistką Nelą były niczym kij wetknięty w szprychy rozpędzonego roweru. Ostatni koncert autorów „Cold Calculations” przed wymuszoną przerwą miał miejsce w grudniu 2022, pół roku po wydaniu przywołanego przed chwilą tytułu.

Dostłownie na kilka dni przed umieszczeniem niespodziewanego posta o powrocie CG całkowitym przypadkiem spotkaliśmy się z Darkiem pod jednym z licznych w naszym mieście kebabowych przybytków. Zamiast konsumpcji ustawiliśmy się jednak na spontaniczne słuchanie świeżego materiału i gadkę o nowej odświeżonej jego zespołu. Jak można było się domyślić, z zaplanowanego tradycyjnego wywiadu niewiele wyszło; bardziej zaaferowała nas degustacja czeskich smaków w prostej linii prowadząca do nawijania o wszystkim i niczym. Całą resztę soundtracku pod posiedzenie – zawieszonego pomiędzy Graždanską Oboroną, Absent In Body a Viagra Boys – ogarniał Michał Przechera.

Premiera „Second Wave” – choć pomimo tytułowej dwójki to tak naprawdę trzeci pełnowymiarowy album tej chłodnej ekipy – miała miejsce 22 kwietnia nakładem wydawnictwa Mirrorphobic Productions. Materiał zrealizowany w krakowskim Studiu Centrum przez Tomasza Kubiaka jest ogólnodostępny w serwisach streamingowych, boomerzy mogą też szarpnąć się na oldskulowy kompakt. W bliższych i nieco dalszych planach jest także wydanie limitowanej kasety i winyla. A wrażenia po odsłuchu numer jeden? Pierwsze, co mi przyszło do głowy, to ładne – choć lekko nadużywane – określenie „sygnatura artystyczna”, co w przypadku Cabaretu Grey (i wcześniej This Cold) jest niekwestionowanym udziałem Leszego, który niczym Dunga, kapitan reprezentacji Brazylii z lat dziewięćdziesiątych, musi przybić stempel do każdej akcji swojej drużyny.

Motoryczny chłód perkusji i basu, minimalizm starych syntezatorów i sentymentalną podróż na strunach gitary – to kolejny fejsbukowy opis zapowiadający dość zwięzłą (nieco ponad pół godziny muzyki) „Drugą Falę”. Brzmi znajomo? I tak, i nie. Darkowa koszulka Bauhaus na klimatycznych zdjęciach promo zrobionych przez Karola Budrewicza to jak zwykle dobry trop – bez większej przesady, młodszy Beksiński śmiało mógłby wplatać materiał Szarego Kabaretu (wiecie, że archaiczne tłumaczenie słowa Cabaret to... sklep alkoholowy?) w swoje książkowe rozkminy.

Choć, jak zadeklarował Leszy, „Second Wave” nie do końca jest kontynuacją jego dotychczasowego kompozytorskiego modus operandi: *Trudno mi ocenić, czy stare numery był bardziej punkowe, a może to, co robimy teraz, jest bardziej gotyckie?* – spytał retorycznie.



Cabaret Grey - fot. Karol Budrewicz

Ale nie szukałem czegoś odkrywczego. Na „Cold Calculations” więcej było syntezatorowych, rzućco-drapiących brzmień, pojawiły się arpeggiatory i zgrzyty, a tu mamy sporo gotyckich klawiszy. Wcześniej szkice utworów tworzyłem na basie, jednak popracowałem trochę nad gitarowymi skillami i nowe pomysły udało mi się realizować właśnie na wiośle. Muzę jak zwykle zrobiłem sam, w wokale standardowo nie ingerowałem, a Kostek zagrał na basie takie partie, do jakich go zmusiłem. – dodał ze śmiechem.

Już nie wiem, czy to zespół, czy bardziej projekt muzyczny. Nie mam pojęcia, jakie są granice tej nomenklatury – w pewnym momencie Leszy niespodziewanie uderzył w tony filozoficzne. W składzie pojawiła się już trzecia wokalistka, po drodze było trzech perkusistów, klawiszowców i spora liczba basistów. Niezależnie od semantycznych analiz, przynajmniej w kwestii występów na żywo niewiele się zmieniło:

Jeśli chodzi o planowane koncerty, to jak zwykle interesują nas głównie zagraniczne wojaże i na nich chcemy się przede wszystkim skupić. Tak więc jeśli usłyszycie o zbliżającym się koncercie CG w lokalnym domu kultury, idźcie!

Jak w każdej rozmowie o nowym materiale musiało pojawić się też nawiązanie do najsilniejszych muzycznych wpływów autora: Na przestrzeni lat zmieniają się moje inspiracje i gram głównie to, czego słucham, a przez kilka lat ostatnich najczęściej włączałem... rosyjską scenę doomer wave i wszystkie pochodne zespołu Кино (Kino). To dla mnie odkrycie, bo w Polsce mało kto słucha muzyki ze Wschodu, a ta jest świetna! Można tam znaleźć podobną do naszej słowiańską ekspresję – coś, czego nie ma w amerykańskim graniu – podsumował lider (choć sam pewnie w autoryzacji będzie chciał usunąć to określenie) Cabaretu Grey.

Nic już nie ma do dodania, pora zasiąść do słuchania! Sprawdzajcie „Second Wave”, nie tylko wtedy, gdy letnie upały staną się już całkiem nieznośne.



CYNAMONOWY OGRÓD

Proklamujemy dystans
do świata i siebie

Cynamonowy Ogród - fot. Maciek Rabski i Dagmara Włoszek-Rabska

Specjalnie dla Was aktualizację zespołowego statusu przedstawia wokalista i gitarzysta Cynamonów, Albert Pyśk. A jest o czym mówić – grupa przygotowała nowy album, który od pewnego czasu jest już promowany w sieci singlami „Dyktator” oraz „Jestem zmęczony”. Zapraszamy na spacer po jedynym takim Ogródzie! O wystąpieniu odpowiedzi Messegnerem przypominał Michał Przechera.

Co się działo z Cynamonowym Ogrodem od czasów „Grafonomalii”? Rzeczywiście od wydania naszej ostatniej płyty minęło bardzo dużo czasu. Był to dla nas okres dość trudny, ale jak to z trudami w życiu bywa, stawiają nas one często przed decyzjami prowadzącymi do zmian. Tak więc zmienialiśmy brzmienie i sens tego, co i po co to wszystko robimy. Każda z naszych decyzji wpłynęła na jakość rzeczy, które obecnie wytwarzamy i kierujemy do słuchaczy. Proklamujemy dystans do świata i siebie.

Nowy materiał powstawał od razu po wydaniu „Grafonomalii”. Zamknęliśmy się w buszu i zaczęliśmy pisać kolejne piosenki. Po drodze jednak życie wymogło od nas wzięcia odpowiedzialności za tak zwaną prozę życia, a specyfika tworzenia poetyckich tekstów i tworzenia kompozycji wymagała czasu. Do studia teatralnego w Legnicy weszliśmy dwa lata temu, wówczas nagraliśmy wszystkie partie perkusyjne Marcina. W tym samym czasie zmieniliśmy jakość naszego grania. Odeszliśmy od klasycznego grania na piecach na rzecz korzystania z systemów. Zmusiło nas to do szukania wspólnego brzmienia. Duża w tym zasługa Kozłowa, czyli Łukasza Kozłowskiego, który motywował nas, żebyśmy dbali o niuanse brzmieniowe. Po drodze mieliśmy zawirowania składowe, ale w końcu udało nam się spotkać z Patrykiem Wójcikiem, który jako basista

tnął w nasz zespół fantastyczną energię. Płytę rejestrowaliśmy na raty. O perkusji już wspomniałem, natomiast gitary i wokale nagrywaliśmy z lini w salce. Po drodze robiliśmy dużo korekt w kompozycji. Właściwie można powiedzieć, że ogarnialiśmy to na bieżąco.

Jeśli chodzi o moją rolę w zespole, to pisanie słów pod melodię jest świetną zabawą. W naszej kapeli panuje dość swobodne podejście do kompozycji i często gdy przynosimy teksty, riffy itp. to traktujemy to jako inspirację do stworzenia motywu. Potem zaczynamy powoli dogadywać się na formę. Nie ukrywam, że przy nowszych kompozycjach, które zaczynamy tworzyć, staram się skupić głównie na tekście i wokalu. Granie na gitarze schodzi na dalszy plan.

Singiel „Dyktator” dla mnie jest wyjątkowym utworem, ponieważ został napisany dokładnie w odpowiedzi na poprzednią kadencję Donalda Trumpa. Ciągłe wymachiwanie atomową szablą skłoniło mnie do poszukania odpowiedzi na dyktaturę w piosence. Dyktator z naszego singla przynosi nam dystans do siebie i świata. Podważenie tego, w co zwykle całe życie wierzymy. Dochodząc do sedna, żeby zwyczajnie stać się świadomym człowiekiem. To „Dyktator” świadomości. Wyдалиśmy też niedawno kolejny singiel zatytułowany „Jestem zmęczony”; opowieść bohatera



Cynamonowy Ogród - fot. Maciek Rabski i Dagmara Włoszek-Rabska

pogrążonego w apatii, depresji, braku zaufania. To symbol totalnie dojechanej jednostki, która nie ma siły na nic. Jedyne, co można z siebie wykrzesać, to „laj, laj, laj” – tylko, że to „laj, laj” totalnej bezradności.

Ostatnie koncerty, które zagraliśmy, dały nam dużo wiatru w skrzydła i bardzo różniły się pod kątem grupy wiekowej. Na występ w Hard Rock Cafe we Wrocławiu przyszło dużo starszych osób, które należą do stałych bywalców lokalu. Zagraliśmy dość bogatą setlistę – mix

pierwszej płyty i nowości. Koncert się udał wspaniale, otrzymaliśmy po nim dużo miłych słów. Na długo zapamiętamy także granie na tegorocznej Lidze Rocka w Jeleniej Górze. To było coś niesamowitego. Tyle wspaniałej energii na widowni, prawdziwy rock 'n' roll! Wspólnie z pozostałymi finalistami udało nam się stworzyć piękne widowisko. Super organizacja. Zachęcamy zespoły do zgłaszania się na Ligę Rocka, żałować nie będziecie!



prezentuje

CIRROSTRATUS

"BĄDŹ NA PUNK!"

29 marca 1980, I LO Legnica
wideoklip - premiera

Pierwsza kapela punkowa w Legnicy!

Utwóry Cirrostratusa dostępne
na wydawnictwie "Przegląd 80/81"
(Czerwone Miasto, 2021)



KOD DO VIDEO >>>

SUCHY PION

Bo jak się człowiek zmęczy, to mu się lepiej zasypia...

Suchy Pion to pankowo-dadaistyczny, wrocławsko-nałęczowski projekt muzyczny, który od lat tworzą pionizowani rzeńskim powiewem młodzieńczych ideałów koledzy z Detroit (którego, dowiecie się z wywiadu). Na pytania odpowiadają jak na spowiedzi, przedrzeźniając się jak dzieci w przedszkolu, a jeden to nawet jak wycofany analogowy autystyk-akustyk (też doczytacie). W Legnicy zagrali pod koniec 2024 roku i dzień przed premierą tego numeru, 9 maja, wrócili do Art Cafe Modjeska.

1. Zaczniemy od prostej deklinacji, ewentualnie bardziej złożonej deklamacji: kto, z kim, o kim, o czym, kiedy, gdzie i dlaczego, a przede wszystkim - po co? Przedstawcie się, oby kulturalnie.

Szazza: No tak z głowy, czyli z niczego, wygłosić takie opowiadanie, kto z kim i kiedy i dla kogo-czego, nie będzie łatwe, a teraz wręcz niemożliwe, poza jednym przypadkiem: kto i co. No więc: Adam czyli Maniek, Darek czyli Siwy, wtedy czasami Bimber, Mucha od zawsze Mucha i Paweł czyli Szazza. Zespół muzyczny Saczy Pajon! (piszesz jak słyszysz).

Darek: Suchy Pion to opozycja do Mokrego Horyzontalizmu [eufemizm regularnego ochleństwa - przyp. red.]. Adam Mańczak - gitara główna, zwykle zagłuszająca całą resztę przy partiach solowych, i vocal także główny, jedyny który stroi w tej kapeli. Poza tym wokalnie wszyscy to tu to tam, bo to wspaniale wy-wrzeszczyć się. Mucha Michał na perce, nikt nie gra tak jak on, ma swoje puknięcie, po prostu. Paweł Shazza Gorczyca szyje na basie jak tylko da się, głównie pięknie klaszcze w dodatku nie do rytmu, ale to dla niego przybiega publiczność na koncerty. Dariusz Wojdyga (DarJuż się od rana), tło gitarowe dla całości, podkreśla, że muzykiem nie jest, ale porzeźbić coś tam potrafi na max trzech chwytach. Znamy się od podstawówki, kapelę założyliśmy, gdy pięć przestaliśmy (około dziewięć coś), nie celujemy w karierę, lecz w przyjemność współdzielonej szajby.

Mucha [zawsze krótko i na końcu - przyp. red.]: Często na przekór, ale nie zawsze z czystej przyjemności, bo to wszystko ciężkie i trzeba się nanosić.

Adam Mańczak [to ten co woli odręcznie, jego z boku reprodukuje i cytujemy, numerki w kółeczku odpowiadają numerkom pytań - przyp. red.]

2. Mówicie o sobie bractwo muzyczno-performatywno-terapeutyczne. W tej konfiguracji nagraliście ze trzy albumy, co zajęło wam mniej więcej dwie dekady. Spodziewaliście się, że młodzieńcze szaleństwo rodem z trzebnickiego podwórka przerodzą się w życiową przygodę i przyjaźń?

Darek: Tego się nie widzi, póki się tego nie zauważy. A to dopiero czas pokazuje, gdy już cyfra chroni (wszyscy pięćdziesiątkę w tym roku!!!). Wspaniały fenomen. Wspaniała przyjaźń.

Szazza: Niczego się nie spodziewaliśmy. Spontaniczne ruchy niczym meduzy w Morzu Bałtyckim lub sinice w Odrze... więcej grania w Małysza niż na instrumentach i trwa to do dzisiaj... zamknięte próby zespołu czasami wyglądają jak udane koncerty...

Mucha: Das proces, mam wrażenie że się rodzi i rodzi, w kółko tak.

3. Jak zmieniła się rzeczywistość, którą komentujecie, jak zmieniła się muza, jak zmieniliście się wy sami? Chce wam się pankować po pięćdziesiątkę?



Szazza: Pankom to my możemy glany wiązać i przypinać agrałki do skóry. My jesteśmy pogrobowymi wyleńciami, co nie potrafią po cichu spocząć na kanapie... zawsze coś z kimś gdzieś dla kogoś i za frytki najlepiej ... to taka nasza ideologia, więc ciągle w ruchu jesteśmy, jej wierni, od 25 lat więcej wkładamy, niż wyciągamy i to się nie zmieniło i już nie zmieni raczej.

Darek: Zmieniło się nic, oprócz sprzętu. Adam nakupił gitar, i pieców i kabli, więc hałasuje się głośniejsz i lepiej słyszeć, jak się wykołujemy i że nie pamiętamy tekstów. No i z pewnością nasz stosunek się zmienił do rzeczywistości. Wcześniej się było tym, co się krzychało. Teraz pokrzykujemy, i nam przejdzie. Nie zmienimy tego świata. No future to stała niezmienna.

Mucha: Wiele rzeczy mi się nie chce, czasem mi się chce punkować.

4. Z tego co widać po waszych koncertach, granie nadal jest dla was frajdą. Trochę błażnujecie, a trochę opowiadacie o najważniejszych rzeczach. Obok lekkich „Proszę odejść od stolika” czy „Idziemy do lekarza” jest też „Ludzkość to bestia” czy „Wjechał we mnie czołg”, którą to zresztą frazą literacko-muzyczną rozjeżdżacie słuchacza w pierwszej sekundzie po włączeniu ostatniej płyty...

Darek: „Idziemy do lekarza” to tylko pozór lekkości i banału. To diagnoza

2. ABSOLUTNIE NIE BYŁO PLANÓW NA TAAKA „KARIERĘ” Z ZESTOŁU W BRACIWO PRZESZLIŚMY W ZWIĄZKU Z WYSEWŁAT... CZYLI PO 20 PONAD LATACH STATUS ZOSTAŁ ZMIENIONY. PIERWOTNIE BYŁO FORMĄ NA TO CO SIĘ DZIAŁO WENNATRZ... BYŁO WYKRZYCZET DOBRZE ZNALIŚMY SIĘ Z DZIECIEM I RELACJE MIĘDZY NAMI W CIĄGU TYCH WIELU WIELU LAT ZMIENIAŁY SIĘ I EWOLUOWAŁY. W ZASADZIE TO TEST PODSTAWA DZIAŁANIA, A MUZYKA TEST WTRÓJNYM ODPADEM LUB EFEKTEM UBOCZNYM O SUPER NAZWA NOWEJ PŁYTY BĘDZIE (?) (?) (?) :

3. DLA MNIE Z JEDNEJ STRONY ŚWIAT I MUZA ZMIENIA SIĘ W KIERUNKU KTÓRY NIECO MNIE PRZERAZA I MAM TEŻ NIECHĘĆ I SPRZECIW... CZUŁE TAKI RODZAJ DEKUMANIZACJI... ŚWIATA ULTRAKOMERCYALIZMU... ŚWIATA ALE ISTN NIERZĘLTYWISTEGO, WIRTUALNEGO... INTERNET MIAŁ BYĆ MEDIUM DLA WOLNOMYŚLICEŃ I DARMOWEGO NOŚNIKA INFORMACJI... DZIŚ WIDZĘ TO MOCNO INACZET... ALE Z DRUGIEJ STRONY DZIEWI TEMU JEST POSTĘP DO NIEOBRA- NICZONEJ ILOŚCI RODZAJU MUZYKI... LECZ JA W TEJ KWESTII CZUŁE SIĘ MOCNO ANAŁOGOWY... (DLATEGO PIŠE RĘCZNIE ANIE KORZYSTAM ZE SZTUCZNEJ INTELIGENCJI :))

rzeczywistości. Nie trzeba mówić nic więcej. To właściwie smutny kawałek skocznie zadeklamowany. „Czołg” jest oczywisty, pierdyknięcie i wyjazd, nic dodać, nic ująć. Trochę pokrzykujemy, żeby pokazać, że widzimy co i jak, że „Ludzkość to bestia...”.

Szazza: Lubimy być niepoważni, niedoskonali a jak jeszcze można przy okazji sprawić komuś przyjemność tym błaznowaniem, to już jest pięknie.

Mucha: Bo jak się człowiek zmęczy, to mu się lepiej zasypia.

5. W legnickiej Art Cafe Modjeska graliście na zaproszenie Galerii Sztuki. Jak się okazuje, macie z nią wiele wspólnego. Darek to pełnowymiarowy artysta, zajmujący się biżuterią artystyczną, sztukami wizualnymi i aktywizmem, Szazza i Mucha dziarsko spełniają się w dziedzinie fotografii, a Adam jest architektem...

Szazza: Jesss, zgadza się wszystko pytanie zawiera odpowiedź i takie lubię... ale trzeba dyskutować i opowiadać - więc wszelkie działania na pograniczu sztuki i kultury nie są nam obce, a i nawet bardzo nas interesują.

Darek: Tak, taki zbieg okoliczności, że każdy gdzieś tam koło tej sztuki, właściwie od zawsze, bliżej, lub dalej. Zamiast coś uczciwego w życiu...

Mucha: To zależy, ale można to ująć kulturalnie, że się spełniam.

6. To wasze trochę łotrzykowskie, trochę dadaistyczne, a trochę formalizowane łączenie sztuk wszelakich pomaga w życiu czy raczej przeszkadza?

Darek: Bez tego to nie byłoby ten-tęgo, ten-tamtego. To jedyny sposób na survival i zachowanie w miarę Suchego tego Pionu.

Szazza: To jest najpiękniejszą formą odbioru i analizowania rzeczywistości która pomaga w byciu tu i teraz, sztuka, abstrakcja, humor, czasem poważniejsze analizy, a potem sauna i kolacja lub kto co lubi.

Mucha: Nie przeszkadza, ale nie wiem, czy pomaga.

Grinder66

5 GŁOBAŁNA WIOSKA :)
POWIĄZANIE TEST DOZÓ, NAWET
BARDZO OSOBISTYM...
KIEDYŚ JAKO ARCHITEKT
STARTOWAŁEM W KONKURSIE
ARCH. NA ~~STED~~ ROZBUDOWĘ
MUZEUM MIEDZI W
LEGNICY... A WIELE LAT
TEMU PROJEKTOWAŁYŚMY
PRZEBUDOWĘ BUD. HANGARÓW
PRZY STARYM LOTNISKU.

6. PŁA MNIE JEST TO
ZDECYDOWANIE O BALANSIE :)
WCIĄŻ NIE MOGĘ PRZESTĄĆ
GRAĆ... :) ZWĘŻAŁA PRZY
DUŻEJ ILOŚCI PRACY I TEMPA
ŻYCIA JEST OBRONNA POTRZEB
WRĘCZ DUCHOWA WYDAWANIA
TYŁY DZWIĘKÓW... I CZY TO
PRÓBA CZY KONCERT TO JA
JUZ TESTEM WENETRZE
ZBALANSOWANY I SZCZĘŚLIWY.



PREZYDENT LEGNICY
MACIEJ KUPAJ
ZAPRASZA NA



SATYRYKON
LEGNICA

TYMON TYMAŃSKI

Republikacje

14.06.
2025

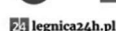
GODZ. 20.00
SALA MANEŻOWA
AKADEMII RYCERSKIEJ

BILETY

55 ZŁ PRZEDSPRZEDAŻ

70 ZŁ W DNIU KONCERTU

DOSTĘPNE W GALERII
SATYRYKON **ORAZ ONLINE**



KATOD MUSIC

na Castle Party!

KATOD, a właściwie Mariusz Wasilewski, pochodzący z Legnicy multiinstrumentalista, kompozytor i producent grający na gitarze, instrumentach klawiszowych oraz starych komputerach Commodore 64, po 27 latach wrócił na festiwal, dając energetyczny show dla gotyckiej publiki Castle Party.

Jakie są twoje muzyczne początki?

W latach dziewięćdziesiątych, w technikum, grałem na gitarze w legnickim metalowym zespole Visya, a kilka lat później udzielałem się w grupie Freeport (rock progresywny / gotyk / metal). Poza ciężkimi klimatami interesowały mnie wtedy też brzmienia syntezatorów i syntetycznych bębnow. W 1996 wystąpiliśmy z Freeport na Castle Party na zamku w Grodzie, gdzie zdobyliśmy główną nagrodę w części konkursowej. Rok później zagraliśmy jako laureat na dziedzińcu zamku w Bolkowie, pierwszej edycji Castle Party w nowej lokalizacji. Kolejne kilka lat grywałem z doskoku jako gitarzysta i basista w paru projektach, które jednak nie wyszły poza salę prób. Była to przede wszystkim dobra zabawa. Po tym miałem ponad dziesięcioletnią przerwę, aż zupełnym przypadkiem podczas wizyty znajomych dekadę temu chwyciłem za wiosło i... nie było już odwrotu. Od tamtego czasu wróciłem do gitary, zacząłem grać na klawiszach i komponować.

Opowiedz o KATODZIE...

Instrumentalny projekt muzyczny KATOD powstał w roku 2015. Po prostu grałem to, co kochałem - starą muzykę elektroniczną połączoną z gitarowymi riffami i solówkami. Dodatkowo używałem komputerów Commodore 64, których dźwięk był dla mnie wyjątkowy i mocno utkwiał mi w pamięci od czasów grania w gry u kolegi ponad 30 lat temu. Sam kolekcjonowałem też stare komputery, stąd miałem pod ręką kilka C64, których układ dźwiękowy SID jest przecież prawdziwym mini syntezatorem!

Miałem tyle pomysłów i frajdy z grania, że szybko nagrałem sporo materiału i wydałem pierwszą płytę projektu KATOD (nazwę wziąłem od mojej ksywy z czasów technikum - Katoda). Robiłem to dla frajdy, a dodatkowo podobało się to innym ludziom. W roku 2016 zagrałem pierwszy koncert, a dziś moja twórczość jest już dobrze znana, szczególnie przez osoby interesujące się retrokomputerami. Niezmiennie jest to instrumentalna muzyka elektroniczna w stylu lat osiemdziesiątych wykonywana na żywo na starych komputerach Commodore 64, syntezatorach oraz gitarach elektrycznych. Wydałem 5 albumów i zagrałem sporo koncertów w ciekawych miejscach, m.in. w Planetariach (Śląskim i Olsztyńskim), na wielu imprezach retrokomputerowych takich jak Pixel Heaven, RetroSfera, Decrunch, Lost Party, Kopalnia Bajtów, oprócz tego na festiwalach filmowych, imprezach muzyki elektronicznej, w muzeach oraz klubach.

Pośród wielu atrakcji jubileuszowej edycji festiwalu miała miejsce interaktywna wystawa RetroSfera, zorganizowana przez kolektyw o tej samej nazwie. To trójka przyjaciół, maniaków starych gier i sprzętów z Brzegu, gdzie od 2017 roku organizują Festiwal Komputerów, Gier i Konsol. Uświetniłeś tę imprezę nie tylko swoim koncertem, ale też dałeś tam prelekcję. Skąd wziąłeś się na Castle Party?

Ten pomysł dojrzał przez ponad rok. Przede wszystkim dziękuję za zaproszenie



oraz zaufanie Einarowi Łukasikowi, jednemu z głównych organizatorów CP, z którym współpracowałem w klubie Liverpool we Wrocławiu. Oprócz koncertu na scenie parkowej, zagrałem na wystawie w Galerii Ars et Historia, gdzie opowiadałem też o tym, jak robię muzykę. Współpracowałem wcześniej z tą ekipą, więc pomogłem przy kontakcie i w kwestiach technicznych. Ten event koordynowała Justyna Teodorczyk, która bardzo wsparła nas również na miejscu. Była to miła niespodzianka, że z pełnym przypadkiem mieliśmy okazję pracować razem, bo kolegowaliśmy się z Justyną ponad 3 dekady temu i super było zobaczyć się po latach. Zmęczeni wielogodzinnymi przygotowaniami eventu w klasztorze, wspominaliśmy ze śmiechem, że na moich próbach i koncertach cierpliwie przesiadywała już na początku lat dziewięćdziesiątych!

Na scenie wystąpił ze mną gościnnie na klawiszach Adam Stanisławski z Legnicy. Oba sety były bardzo udane. Ludzie świetnie się bawili, a pełen namiot gorąco domagał się bisów, choć formuła festiwalu niestety nie dawała takiej możliwości. Bardzo przyjemnie było po tylu latach stanąć na scenie Castle Party, rozmawiać z ludźmi po koncercie, bawić się wspólnie ze starymi znajomymi i spędzić świetny weekend.

Twój występ zamknął też działalność „poprzedniej Spiżarni” w marcu 2023, lokalu na szczęście już na nowo i skutecznie wskrzeszonego. Jak wspominasz grę w rodzinnym mieście?

Był to kameralny występ, 30-40 osób, ale dla fajnych ludzi grało się fajnie. Najprzyjemniejsze było spotkanie z kolegami z zespołu Visya, Grześkiem i Marcinem, którzy przyszli na ten koncert - mieliśmy okazję pogadać i zrobić pamiątkowe zdjęcie. Trzymam kciuki, aby Spiżarnia przetrwała i była super miejscem!

Gdzie możemy zobaczyć KATOD w najbliższym czasie?

12 kwietnia dałem koncert w łódzkim klubie Przechowalnia w ramach aferparty retrogamingowego BIT-BOAT. Mam już tegoroczny grafik, ale czekam aż organizatorzy ogłoszą to u siebie. Zapraszam na profil FB (KATOD, katodmusic.com), tam informuję o najbliższych koncertach oraz aktualnościach. Posłuchajcie też mojej muzyki na katodmusic.bandcamp.com!

Grinder66

Lato

zdychało głośno...

„Żar z nieba – żar ze sceny” – to hasło, które można okrzyknąć tematem przewodnim letnich festiwali. Organizatorzy jakby zgodnie wykupili ten sam pakiet pogodowy – niezmiennie 35 stopni regularnie katowało zarówno białych gotów i wykoronkowane wampirzyce na Castle Party, jak i osmolonych pióraczy i gorące metalówki na Summer Dying Loud Festival w Aleksandrowie Łódzkim czy Metal Mine Festival w Wałbrzychu. Opalanie na żywca wykańczane było lejącą się ze sceny stałą, o której dostawy dbały najlepsze hutnicze składy tego sezonu, żeby nie powiedzieć dekad. Prawdziwy trening przed piekłem, a wsad na sceny naprawdę wybierali z górnych półek – lub najbardziej osmolonych kotłów. Luknijcie, jak było...

Castle Party trwa 30 lat!

To wprawdzie niekoniecznie piekło, a bardziej nocna schadzka na cmentarzu, ale w tym roku Dark Independent Festival odbył się w promieniach słońca, jednej nocy tylko przehartowanych strugami ulewnego deszczu, które zresztą dodały melancholii doomowej szwedzkiej Katatonii. Z gotyckich smaczków zobaczyliśmy Combichrist, Dark Majesty, Nosferatu, The Mission, Mono Inc., Orangesector, Cold in Berlin, Diorama, czy starego dobrego Closterkellera, a bywalczynie tej sceny Anji Orthodox przypadł zaszczyt odpalenia czarnego tortu z okazji 30 lat Castle Party. Scena zamkowa i parkowa zaprezentowały całą plejadę gatunków, do spamiętania tylko niektóre: synth pop, industrial slavic folk metal, horror goth rock, techno body music, a nawet 8-bit, psychobilly i ethereal. No ba!

Ponad 50 koncertów na dwóch scenach w parku oraz na zamkowym dziedzińcu, pokaz alternatywnej mody i teatru ognia, kids zone na bołkowskim rynku, interaktywna wystawa retrosprzętu w klasztorze, kwiaty i wiwaty na scenie oraz wydawnictwo jubileuszowe. W okrągłą rocznicę działo się wiele. Po tylu latach już nie tylko zamek, ale całe miasto doskonale czuje się w czerni, a diablisce i wampiry, tak jak naturalnie wtapiają zęby w szyje naturszczyków, tak i miękko wtapiają się w miasteczkowy krajobraz. Dopiero nocą – na ostrych DJ-skich party wyostrzają im się zęby, pazury, wzrok i ruchy. Wtedy nie masz wyjścia – tańczysz, jak zagrają! Czy to scena, czy hacjenda, czy pole namiotowe...





Castle Party 2024, fot. Grinder66



Katod, Castle Party 2024, fot. Grinder66

Kopalnia metalu

Wałbrzych znany jest z tego, że sięga pod ziemię. Wydobywający się stamtąd odór jaranych dusz przyciąga coraz szerszą publiczność, a siódma edycja była frekwencyjnym, promocyjnym i organizacyjnym topem! Świetnie przygotowana miejscowa, piekielnie dobre obrazki i gadżety reklamujące to miejsce i jego klimat, smaczne jedzenie i picie z trucków. Moc atrakcji obok – Sztygarówka racząca kawusią, wystawy BWA, zwiedzanie podziemi kopalni i zewnętrznych ekspozycji ciężkiego sprzętu wydobywczego. To sprawia, że klimat miejsca, pachnącego betonem i swądem piekła, jest niepowtarzalny w skali kraju. Czesi diablo potwierdzą, w końcu wiedzą co widzą. Gospodarze zaprezentowali srogi line-up, z podziałem na podgatunki, fundując niezapomniane koncerty. Było i polskie zło (Furia, Pleń, Arkona, Lilla Veneda, Halny, Dom Zły), były mocne legendy (Godslut, Thvn, Vomitory, Blood Red Throne, Destroyer666, Watain), było i trochę kozackiego wydziwiania – Obscure Sphinx i Bipolar Architecture, które mrozą post-progresywnym blekiem, Gutalax, który pieśnią o gównie i płasem kupi każdego i nieco odjechany Black Altar, który podczas mszy wykonał prezentację diablistycznych gadżetów. Po trzech dawkach (impreza po raz pierwszy miała 3 dni), już wiesz, że tu jest twój ubabrany węglem kawałek piekła.

Destroyer, Metal Mine 2024, fot.Grinder66



Metal Mine 2024, fot.Grinder66

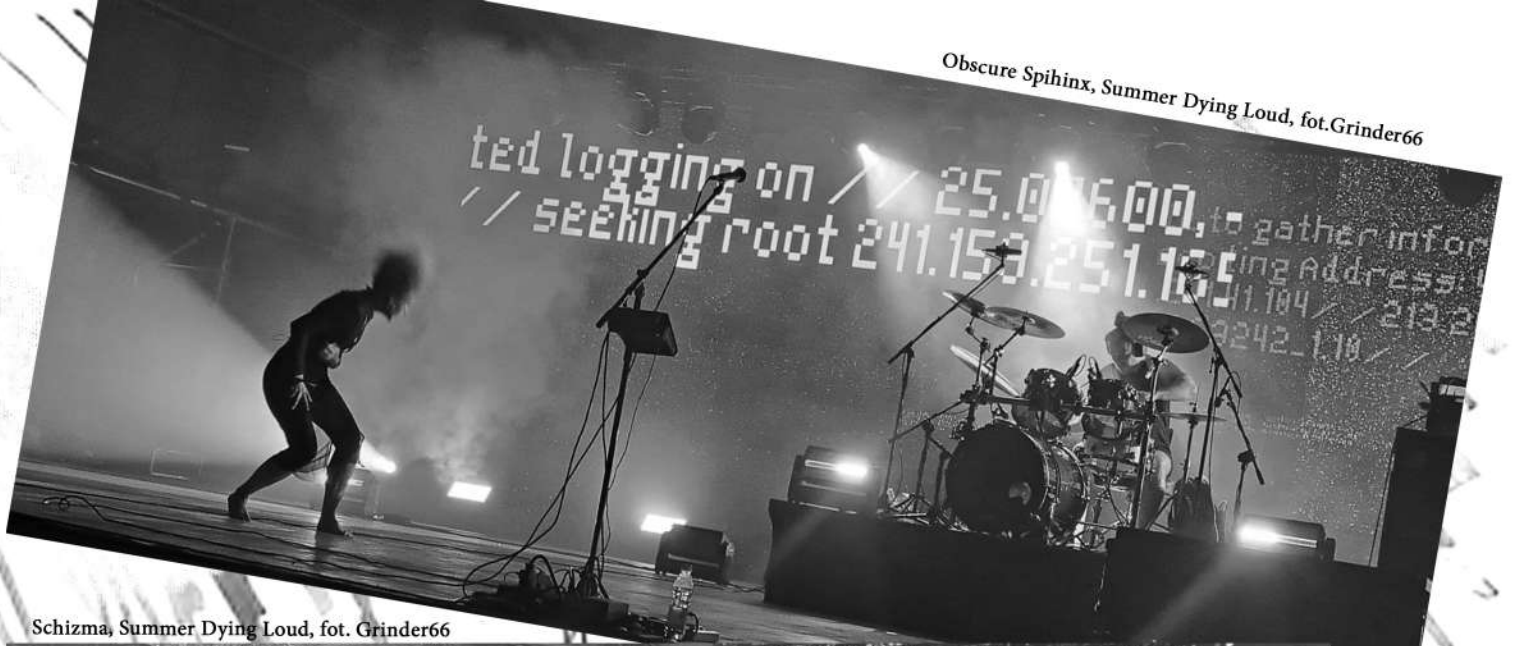


Przedsionki piekła

Podłódzkie „rogalia” organizowane od 15 lat przez – uważaj co przeczytasz! – magistracki wydział kultury i bibliotekę miejską, są obecnie najlepiej skrojonym i najbardziej udanym metalowym festiwalem Rzeczypospolitej Niewiernej. Sytuowany w centralnej Polsce, a więc blisko nawet od naszej Z Nią Nie Zawsze Po Drodze, jest wprost marzeniem sierściatej gawiedzi: scena plenerowa i w budynku, trochę kultury, trochę lasu, dobrze zorganizowane parkingi, dojazdy i sanitariaty, pyszne żarcie i picia w bród, od owocowych lemoniad, przez baristyczne fantazje, po specjalnie festiwalowo etykietowane piwo z browaru Wąsosz. Polowe studio tatuażu, handel metalowym asortymentem, także wspierającym Ukrainę oraz zbiórka na stypendia dla uzdolnionej aleksandrowskiej młodzieży. Można?! Trochę patelni, trochę cienia, a nawet siedząca widownia! Do tego przepiękny skład sceniczny, który rozculi każdego boomera, rozochoci blackgirls, a nawet uchacha kręcących się zawadiacko w pobliżu panków. Rodziny z dziećmi też znalazłyby coś dla siebie, coby maleństwa mogły rytmicznie hasać i płaszać w oparach lżejszego kopnięcia – z melodią i folkową nutą, wskazując paluszkami na mieniącą się scenę, a rodzice zgodnie oglądać te piękne obrazki estradowe i rodzicielskie z uśmiechem satysfakcji i poczucia dobrze wykonanej roboty wychowawczej. Obok żelaznych filarów metalworldu – zaprosili Messiah, Mayhem, Overkill, Masacre, Moonspell, były też polskie perełki: Schizma, Riverside i Obscure Sphinx, z podbijającą sceny i serca frontmanką Wielebną Zośką, która drze swoją śliczną mordeczkę przepiekielnie.

Więc tamto lato zdychało głośno... Ta wiosna natomiast przyniosła nowe płyty i trasy naszych metalowych tuzów. „Humanihility” Vadera i „Shit ov God” Behemoth mają szansę wbić się we łby i wyrysować trasy letnich rekreacji na 666 fajerek. Do zobaczenia gdzieś koło piekła!

Obscure Spihinx, Summer Dying Loud, fot.Grinder66



Schizma, Summer Dying Loud, fot. Grinder66



Over Kill, Summer Dying Loud, fot.Grinder66



GEORDIE GREEP

„THE NEW SOUND”

płyta 2024 roku?!

Black Midi zawiesza działalność na czas nieokreślony. Przyznam szczerze, oświadczenie z marca 2024 wprawiło mnie w dużą konsternację – w końcu to jeden z najciekawszych młodych zespołów ostatnich lat. Londyńczycy nagrali trzy eksplodujące pomysłami longplaye i można było spodziewać się, że ci niesamowicie zdolni dwudziestopięciolatkowie jeszcze nieraz nas zaskoczą. W końcu wydany zaledwie na przestrzeni trzech lat tryptyk ich płyt („Schlagenheim”, „Cavalcade” i „Hellfire”, sprawdźcie!) został wygłaskany przez krytyków i doceniony przez publiczność.

W lwiej większości za warstwą artystyczną, wizerunkiem i identyfikacją zespołu stał Geordie Greep, urodzony w 1999 roku niepozorny Brytol z powoli przerzedzającą się fryzurą, imidżem dalekim od nadętej rockowej sztampy i głową pełną nieokiełzanych pomysłów. Słuchając Black Midi dało się jednak wyczuć, że potrzeba uwolnienia z okowów jakiegokolwiek (nawet tak wolnej) formy prędej czy później stanie się w przypadku lidera tej formacji na tyle mocna, że naturalnym dla niego krokiem będzie chęć zrealizowania czegoś pod własną banderą. I rzeczywiście, poszło całkiem szybko – „The New Sound”, pierwszy krążek sygnowany nazwiskiem Greepa, premierę miał już 4 października 2024. To materiał zarejestrowany na przestrzeni około dziewięciu miesięcy i, jak to ująłby zapewne Tymon Tymański, mocno sowizdrzalski. Bez kalkulacji, a z dużą dawką (jeszcze) młodzieńczej energii i improwizacji. Płyta odrzuciła wszelkie granice, zarówno te muzyczne, jak i geograficzne – w końcu była nagrywana (w siedmiu różnych studiach!) pomiędzy postmodernistycznym Londynem a São Paulo w wersji latino.

Już w innych recenzjach czy komentarzach trafiałem na polemikę z tytułem, zatem nie przypisuję sobie tej sprytniej konstatacji: pomimo oczywistej sugestii na „The New Sound” wcale nie ma co się spodziewać nieznanych dotąd dźwięków czy wymyślania na nowo muzycznego prochu. Choć dziś tak naprawdę całe granie lepięte jest na półce z przedrostkami „post-”, to w tym przypadku pomieszanie z poplątaniem osiąga takie rejony, że Blendersi (pozdro chłopaki!) mogą się zawstydzić swoją monogatunkowością, a whisky blended jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmienia się w single malta.

Moje pierwsze wrażenie? Jakby Frank Zappa i Frank Sinatra (w końcu wydawnictwo zamyka cover „If You Are But a Dream” nagrany przez Pana Franciszka osiemdziesiąt lat temu) dorobili się dziecka, które później zmieszałoby geny z potomkiem Jello Biafry

i Roberta Frippa (podobieństwo nazwisk, jak widać, nieprzypadkowe), a wszystko to pod czujnym okiem wujka Jacquesa Brela. Greep raz próbuje być wodewilowym śpiewakiem, raz londyńskim chuliganem, raz latynoskim chałturnikiem przygrywającym do tańca. Robi jednak to niezwykle dojrzałe jak na metryczkę gościa urodzonego miesiąc po Woodstocku '99. Całkowity stylistyczny misz-masz, ale też nie można powiedzieć, że Geordie odciął się od macierzystej estetyki i stępił pazur. Oczywiście, jest lżej i przystępniej niż w takich numerach jak „bmbmbm” czy „John L”, ale zdarzają się naprawdę ciężkie, pokręcone motywy. Choćby dlatego, że na bębnach w kilku utworach udzielił się niesamowity Morgan Simpson – były perkusista Black Midi kojarzyć się może z nieco zapomnianym Thomasem Pridgenem nie tylko ze względu na fizyczne podobieństwo.

Gitara Geordiego prowadzi wielopłaszczyznową opowieść, jednak nie mówimy tu o typowo autorskiej płycie, gdzie uwieńczeniem kawałka jest popisowa solówka bohatera tytułowego czy chwytliwy refren zaśpiewany gościnnie przez popularną szansonistkę. Choć akurat kwestia featuringów w przypadku „The New Sound” to temat naprawdę szeroki – w sesjach wzięło udział dwudziestu siedmiu muzyków! Sam Geordie oprócz brawurowej obsługi wiola i wokalu nagrał też między innymi partię syntezatora, pianina, akordeonu czy bezprogowego basu. Pomimo tego, Greep wcale nie stawia się w centralnym punkcie piosenek i wie, kiedy cisza jest jeszcze skuteczniejsza niż kakofonia. A na płycie można usłyszeć również takie instrumenty jak wiolonczela, puzon, saksofon, obój czy skrzypce – różnorodnie, ale i tak znacznie bardziej klasycznie niż w wywoływanej we wstępie zespołowej trylogii.

Krążek otwiera numer „Blues”, ale takim bluesem raczej rozczarowani będą stali bywalcy Rawy czy festiwalu w Suwałkach. Greep prowokuje, zapraszając do swojej wykręconej rzeczywistości. Dźwięki się zawijają, tekst gęstnieje, a słuchacz od razu zostaje wrzucony w świat



Geordie Greep

przedstawiony podmiotu lirycznego. Album napisany jest z perspektywy pierwszej osoby, z wyjątkiem... pierwszego numeru. Już od początkowych sekund wokalista wypływa naprawdę dużo słów i równie wiele niezbyt pozytywnych wniosków. Skrajny narcyzm, uzależnienia i niepewność siebie rysują mało chwalebny portret współczesnego mężczyzny, zbyt często stawiającego przerost ego w centrum wszechświata. Chciałbyś być jak James Dean czy Napoleon, ale póki co doświadczasz na żywo scenariusza „Chłopaków do wzięcia”. Choroby przenoszone najbardziej kuszącą z dróg będące jedynym wspomnieniem minionej relacji i kolejne rozstanie. Taki to życiowy „Blues”.

Nastrój nieco uspokaja się w pełnym brazylijskich i musicalowych akcentów numerze „Terra”, by już za chwilę wrócić z solidnym kopniakiem w postaci singlowego „Holy, Holy”. Salsa i calypso wrzucone do garnka z zadziorną, londyńską wrażliwością – choć to nawiązania zupełnie innego typu niż choćby na „Sandiniście” Clashów, bujają niesamowicie! Treściowo dostajemy wkręcającą, sześciominutową historię opowiedzianą z perspektywy przegrywa, który popisuje się przed panią do towarzystwa, mizdrząc się i próbując pokazać swoją wyjątkowość. *I'll bet your pussy is holy too* – chyba nie trzeba tłumaczyć tej bezpośredniej, acz bezskutecznej, apostrofy. Numer wchodzi do głowy jak robak i zostaje tam na długo. Temat płatnej miłości pojawia się zresztą na płycie jak bumerang, ale ta zakazana przyjemność smakuje w świecie Geordiego znacznie bardziej gorzko niż choćby u Bukowskiego. Ale jak już nadmieniałem, warstwa liryczna jest naprawdę bogata – choć bardziej w kwestii formalnej niż tematycznej. Jednak oprócz ulewającej się narracji, dostajemy mantrująco zapętlone słowa czy wersy, a Greep rzuca w kosmos mniej lub bardziej nedorzeczne i trudne pytania, na które nawet nie oczekuje odpowiedzi.

Choć ten bigos został ugotowany z wielu często (teoretycznie) skrajnie niepasujących do siebie składników, raczej nie ma co się martwić o niestrawność. Konkrety? Coś dla miłośników gry w Mario Kart w instrumentalnym numerze tytułowym, stylizowana na pseudocountry wstawka kończąca „Walk Up” (tym razem migają gdzieś światła rozpalone przez Mr. Bungle), musicalowy rozmach „Through a War” czy miniaturowa eteryczność „Bongo Season”. Poproszę o miętowy opłatek na deser! Podczas, gdy Mars Volta po powrocie w 2019 znacząco uspokoiła swoje odjazdy, ogień Omara Rodriguez-Lopeza

śmiało dalej może nieść Greep. Jego debiut najbardziej jednak nabiera rumieńców w drugiej części, gdzieś od „Motorbike”. Opowieść o rozstaniu i szybkim jednoślądzie Yamahy brzmi, jakby Scott Walker zmartwychwstał i tchnął swojego ducha w gościnnie śpiewającego ten utwór Setha Evansa, producenta „The New Sound” i kolegi Geordiego koncertującego jeszcze z ostatnią inkarnacją Black Midi. Kompozycja po potrójnej porcji liryzmu sprawnie przechodzi w poplątanie King Crimson, a w finale poraża pompatycznością spod znaku Swansów.

Barokowych momentów „As If Waltz” nie powstydziliby się nawet Czwórka z Liverpoolu; zresztą Beatlesi to w przypadku Greepa kolejny z całkiem trafnych punktów odniesienia. Właściwą dramaturgię płyty kończy tak naprawdę monumentalny, ośmiozwotkowy, dwunastominutowy „The Magician”, wykonowany jeszcze na ostatnich koncertach BM. Co prawda na finisz otrzymujemy jeszcze przywoływaną wcześniej interpretację Sinatry, a wersja specjalna „Nowego Dźwięku” została wzbogacona o dodatkowe dwa utwory, jednak faktyczną kulminacją konceptu jest zniknięcie Magika w numerze dziesiątym, spotęgowane niknącym głosem i sprzężeniami odchodzącymi w nicość.

„The New Sound” to chyba najbardziej uneasy easy listening, na jaki trafiłem od dawna. Zresztą już obrazowa okładka autorstwa nieżyjącego już kontrowersyjnego japońskiego artysty Toshio Saekiego doskonale zapowiada, że łatwo nie będzie. Debiutu Geordiego najlepiej słuchać z winyla, co jako zdeklarowany snob spod znaku PCV z ogromną przyjemnością i sporą regularnością czynię. I choć w 2024 powstało mnóstwo świetnych albumów, które anonsowałem zresztą już we wstępniku poprzedniego numeru „Strefy...” (Fontaines D.C., Idles, Nick Cave, Kneecap, Shellac, Melvins, Einstürzende Neubauten, The Deep Dark Woods, Amenra, Amigo the Devil, Contemporary Noise Ensemble, Hauntologist, Chat Pile, Soft Play, Smashing Pumpkins, Jesus Lizard, Sean Lennon, The Smile, DIIIV, A Place To Bury Strangers itp. itd.), to właśnie Greep w moim całkowicie subiektywnym rankingu przejął ten, jak widać powyżej, naprawdę dobry rok; w kwestii płytowych premier najlepszy od dawna.

Michał Przechera

ARMIA

„WOJNA I POKÓJ”

na taką płytę warto było czekać dekadę!

Dlaczego dekadę, zapytacie. Otóż „Toń”, ostatni dotychczasowy album Armii, premierę miał blisko 10 lat temu, 16 października 2015. Co prawda w międzyczasie Tomasz Budzyński był naprawdę aktywny wydawniczo (solowe „Pod Wulkanem”, „Svrsum Corda” 2Tm2,3, projekty „Stutthoff” i „Gryf Pomorski”, nagrana na nowo z Jacaszkiem „Legenda”, do tego kilka koncertówek pod różnymi sztandarami i gościnny występ na materiale Pink Freud), to jednak temat armijnej estetyki wydawał się już zamknięty. Owszem, koncerty ze starym repertuarem wciąż cieszyły się popularnością, jednak czy po czterdziestu latach na scenie taki zespół ma jeszcze coś nowego i ciekawego do powiedzenia?

Wnioski są proste: jak najbardziej! Armia nie odcina kuponów i cały czas jest żywym organizmem. W tekstach poeta co prawda głównie prowadzi dialog ze sobą (jest takie słowo jak autointertekstualność?), ale skoro te drzwi są otwarte, nie trzeba dalej szukać. Otwierające album „Wołanie” unocznia (unausznia?), że to z jednej strony pozornie „tradycyjna” Armia, ale mówimy przecież o całkowicie innym zespole niż w momencie wydania „Toni”, nie mówiąc już o epoce z Robertem Brylewskim, do której wciąż wiele osób wzdycha i nawiązuje niczym do artystycznego wzorca z Sèvres.

W „Obcym w domu” Budzy przywołuje chyba swój ulubiony cytat Jeana-Paula Sartre’a – *Piektło to inni*. Do tych słów zresztą odniósł się podczas rozmowy, którą miałem przyjemność przeprowadzić z nim dla portalu Noisey w 2016 roku: *Jeśli w centrum świata jest nasze „ja”, to ten drugi zawsze będzie dla nas zagrożeniem, ponieważ tak żyjąc, wszystko ofiarujemy sobie. Egoizm totalny. W dzisiejszej kulturze nie ma miejsca na miłość, jedność czy przebaczenie, ponieważ drugi jest piekłem* – powiedział. Wyrażnym autocytem jest natomiast *pomóż mi* – wołanie „Złego porucznika” z „Der Prozess”, który na końcu jednak, na szczęście, doczekał się wsparcia. *Pamiętaj kochać, pamiętaj żyć, pamiętaj umierać* to zaś kwintesencja filozofii i tematyki Budzego. Takie proste, a jednocześnie wciąż niesamowicie przejmujące.

„Wielki las” jawi się w odmiennych kolorach niż ten Post Regimentu, ale bynajmniej nie jest to przyjemne miejsce. Panują tam ciemności, a w zmroku czai się bestia i umieranie. To zresztą kolejna rozmowa z sobą. *Czy mnie słyszysz? Nas nie ma* – narrator odpowiada w identycznie zatytułowanym utworze, wołając Toma Bombadila, a tak naprawdę – siebie samego (sprawdźcie, jaką ksywę Budzy podpisywał się na pierwszej płycie). Niespiesznie staje obok, spogląda na drzewa, pagórki i swoją śmierć. To zupełnie inny pejzaż

niż na przykład w „Burakach, kapuście i soli”, choć wydawałoby się – gdy przymrużymy oczy – *wypisz wymaluj* ten sam. O budowanie klimatu i dramaturgii dba drugi najbardziej doświadczony stażem muzyk Armii, waltornista Kuba Bartoszewski – w „Ja tylko wspominam” od drzew odbijają się echa Triodante. Czai się na nas *sfora psów ale ciągle mam nadzieję*.

Najbardziej chwycił i zachwycił mnie jednak „Dzień ojca”, z riffem oscylującym gdzieś obok „Braci Bum”. Wers *tam, gdzie kończy się kraj, ty bądź odważny* prowadzi moje myśli wprost do „Przestania Pana Cogito”. Podobne wrażenie miałem zresztą już w przypadku *idź, nie zwlekaj* z utworu „Kometa nr 8” z ostatniej solowej płyty Budzego. Co prawda, gdy spytałem wokalistę (tym razem w rozmowie w rozmowie dla Interii, a co, pochwałę się) o świadome nawiązanie do jednego z największych polskich poetów, bez wahania zaprzeczył. Tym razem chyba jednak nie poszłoby mu tak łatwo... Z uznaniem trzeba też podejść do wokalnejszej formy Budzyńskiego, jednej z najlepszej w całej jego muzycznej drodze, a to przecież już pan po sześćdziesiątce. Może to nieoczywista w pierwszej chwili inspiracja, jednak gdy wsłuchamy się sercem w ból i zagubienie przebijające się przez słowa, z mroku zaczyna się wyłaniać Diamanda Galás. I ten przester w głosie, ależ nie mogę doczekać się „Dnia ojca” na żywo!

Proste *idź* pojawiło się także na „Wojnie i Pokoju” – tym razem znowu nikt mnie nie przekona, że ten fragment „W każdą stronę” nie brzmi niesamowicie herbertowsko. *Zerwane moje więzy* wklejone są niczym z jakiegoś nieznanego utworu 2Tm2,3 a *wszystko jest możliwe* i „Pielgrzymka” rozpala tak ważne w twórczości Armii światło, pomaga w ciemności i niewoli. Najbogatsze muzycznie i wyróżniające na tle pozostałych (niezwykle równych) kawałków jest za to podbite killingjoke’ową elektroniką „Niebo nad niebem”. Niestety, w przypadku trwającej



Armia - LCK, Sala Maneżowa - 18.05.2024

osiem minut dźwiękowej nieregularności nie ma co liczyć na singla. W duszy zostają za to zapętlone tam słowa *człowiek nie jest sam* – to przecież jednocześnie tytuł jednego z najlepszych utworów na solowej płycie Tomasza „Osobliwości” z 2011 roku. Słyszałem głosy, że „Wojna i Pokój” to mroczna płyta i... coś jest na rzeczy. Wszelkie wewnętrzne zawahania obecne we wcześniejszych utworach uspokajają się jednak po deklaracji, że *niebo jest po naszej stronie*. Cokolwiek dla kogokolwiek to może znaczyć.

Ale żeby nie było, że to płyta absolutnie dziesięciogwiazdkowa – nie zostałem fanem „Przyjaciela”, a onomatopeiczny motyw *ajajaj* mi się po prostu nie podoba! Może musi upłynąć więcej czasu, ale póki co trudno mi zobaczyć w tym numerze coś znacznie więcej niż tylko wypełniacz. Ale jego instrumentalne zakończenie, przynajmniej, jest naprawdę wkręcające! Z tekstów też nie strawiłem zbyt wiele deklaracji *zakochani są niepokonani* w „Cichych dniach” – ale mimo wszystko ewidentnie płynie ona z duszy i spaja się z kolejnymi słowami, że *życie ma sens a miłość jest możliwa*, więc na tym może zakończy już czepialstwo.

Dużo było o warstwie tekstowo-emocjonalnej, ale sprawiedliwość należy oddać też muzyce. Stanisław Budzyński jako gitarzysta nie bał się wejść w buty wybitnych poprzedników, a jako kompozytor nadał piosenkom własnej sygnatury, obecnej choćby w tworzonych przez niego solowych utworach. To jabłko upadło zdecydowanie blisko jabłoni. Na tym jednak nie koniec pochwał. Sekcja rytmiczna: Amade Kaźmierczak na perkusji i Darek Budkiewicz na basie są precyzyjni i potrafią zarówno rozbijać rytmem, jak i konkretnie przywalić. Do tego ta nieustannie charakterystyczna, wietrzna przestrzeń! Niebędący co prawda w składzie Armii, ale doskonale rozumiejący tę estetykę Michał Jacaszek po raz kolejny, równie nienachalnie co odczuwalnie, zaznaczył swoją obecność. Minimalistyczny „Wiatr w drzewach” to trochę uwspółcześiona wersja „Dla każdej samotnej godziny” zamykającej „Legendę” – tylko tu zamiast odgłosu natury i czystych akordów mamy industrialny szum przenikający się z tajemniczym, niepokojącym sygnałem, co znacznie bardziej koresponduje z dzisiejszymi trudnymi czasami.



„Wojna i Pokój” nie będzie rewolucją na miarę „Legendy” czy „Triodante”; uważam nawet, że mocniejszą siłę wyrazu ma „Der Prozess”. Ale miejsce tuż za pudłem? Śmiało mogę się podpisać pod takim werdyktem. Jak na bogatą dyskografię (to już jedenasty studyjny album w czterdziestoletniej historii Armii), to naprawdę świetny wynik. A że ten materiał w momencie pisania powyższej krótkiej analizy (recenzje zostawmy recenzentom) został zaanonsowany na moim ulubionym nośniku, szykuje się jeszcze więcej dobrych odsłuchów. *Nic nie mamy, ale mamy wszystko!*

Przy okazji legnickiego koncertu Armii premierę miała miejsce trzynasty numer „Strefy...”



Budzy - LCK, Sala Maneżowa - 18.05.2024

dlatego teraz warto poświęcić choć trzy akapity temu wydarzeniu:

Armia to na polskiej scenie prawdziwy fenomen. Podczas, gdy różne mody wybuchały i przemijały, grupa od 40 lat niezmiennie dowodzona przez Tomasza Budzyńskiego konsekwentnie szła swoją drogą – całkiem jak w piosence „Nikt” Izraela. Dziś takie podejście bardzo procentuje artystycznie. Legnicki koncert, który miał miejsce 18 maja w Sali Maneżowej Akademii Rycerskiej, potwierdził to, czego można było się spodziewać po ostatnich występach autorów „Legendy”. Grupa wciąż poraża energią, utwory sprzed czterech dekad nadal brzmią świeżo i energetycznie, a frontman grupy potrafi porwać publiczność jak za dawnych lat.

Oczywiście kręgosłup koncertu stanowiły piosenki z najdawniejszych dziejów Armii – zarówno te pochodzące z debiutanckiego krążka z Indianinem na okładce, jak i nagrane jeszcze na składankę „Jak punk to punk”. Dla miłośników grupy możliwość usłyszenia takich numerów jak „Wołanie o pomoc”, „Nigdzie teraz tutaj” czy „Obok historii” to prawdziwe muzyczne święto. Grupa oczywiście pokonała się także swoim pozostałym płytom – swoich reprezentantów miały też rzecz jasna

„Legenda” (trudno wyobrazić sobie Armię na żywo bez przebojowości „Niezwycięzonego”, magii „Opowieści zimowej” czy numeru tytułowego z krążka z Don Kichotem), a także „Triodante” („Miejsce pod słońcem”), „Duch” („Soul Side Story”), a nawet „Pocałunek Mongolskiego Króla” („Sen nocy letniej” z wplecionym fragmentem „Popiołów”).

Obecny skład Armii zdążył już okrzepnąć i nabrać mocy, a do starszego repertuaru wnosi wiele świeżości i nowych muzycznych rozwiązań. Stanisław Budzyński na gitarze rzeczywiście przemyca klimat Roberta Brylewskiego, Amade Kaźmierczak bębni potężnie i równo niczym jego zacięci poprzednicy, Darek Budkiewicz basowymi dołami jeszcze bardziej podbija potęgę brzmienia a Jakub Bartoszewski oprócz obsługi waltorni w Armii odpowiada za tworzenie tej charakterystycznej, nieuchwytniej przestrzeni. Dziękujemy zespołowi i publiczności za ten niezwykle energetyczny wieczór!

Michał Przechera

CZERWONE MIASTO

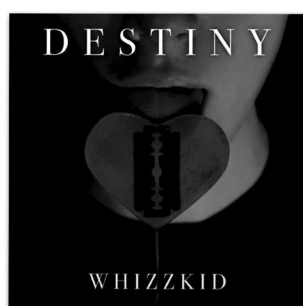


Projekt Legnickiego Centrum Kultury i Atrament Records, odkurzający scenę muzyczną, rockową Legnicy i Zagłębia Miedziowego z dawnych lat.

NAJNOWSZE WYDANIA



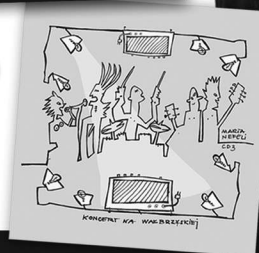
HOTEL CENTRUM/IMPERIUM
"Bilonowy deszcz" 2CD



DESTINY
"Whizzkid" CD



MARIA NEFELI
"Boicie się walczyć.
Jarocin 90" 3CD



- HOTEL CENTRUM/IMPERIUM "Bilonowy deszcz" 2CD
- DESTINY "Whizzkid" CD
- MARIA NEFELI "Boicie się walczyć. Jarocin 90" 3CD
- URZĄD CELNY "Szczyty marzeń. Archiwum 1981-1985" 2CD
- "Urząd Celny. Miłość do przesterowanej gitary" książka
- NOCNE BOOGIE "Nocne Boogie. Archiwum 1989-2019" CD
- Z DZIELNI CHŁOPCY "Blues z mojej dzielnicy" CD
- "Przegląd 80/81. Festiwal Piosenki Uczniowskiej" MC + folder
- TADEUSZ OLCHOWSKI "Tadek" CD



dystrybucja/zamówienia - Czerwone Miasto

✉ czerwone.miasto@lck.art.pl #czerwonemiasto.legnica

☎ 781 612 983 Galeria Satyrykon (Rynek 36)



DOMINIKA SWR

ARTYSTKA NUMERU

Trochę nomad, bardzo introwertyk. Mieszka pomiędzy miejscami. Aktualnie wróciwszy do Legnicy - tu się wychowała. Nie umie określić swojego stylu w fotografii, ważne jest dla niej, aby była pomostem między światem wewnętrznym, a rzeczywistością i w sumie więcej się nie liczy. Aparat towarzyszy jej w życiu od prawie 20 lat.



DYSOCJACJE I PRÓBY
UWAŻNOŚCI W JEDNYM.
SPADKI I SKOKI, PRZESILENIA.
PODRÓŻE, CIEKAWOŚĆ,
UCIECZKI, DETALE, ZAKĄTKI.







Wydawca: Strefa de..."/LCK
bgk@lck.art.pl
www.facebook.com/strefade.legnica/

Redakcja: Michał Przechera, Aleksandra Kondracka, Grinder66, bgk

Ilustracje: #Sztuka za trzy-zero

Skład i opracowanie graficzne: PA-TU studio

Druk: Prographic (Legnica | <http://prographic.pl/>)

